

Wpisano do kontroli periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 19. 4 1960.

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 21. II.
1960 r.
Nr 7 (103)
Cena 1 zł

„ŚLĄSK” w USA



Nasi „Ślązacy” bardzo byli zainteresowani gotyckim stylem tzw. „Commons Room”, który słynie z tego, że wielu młodych ludzi zbiera się tu na pogawędki i spędza czas między jednym a drugim wykładem. Przy butelce coca-coli i książce dyskutuje się tu na rozmaite tematy, poczyniwszy od ostatniego projektu budżetu Eisenhowera do... krawatów w jakich wystąpił Eddie Fischer w ostatnim spektaklu telewizyjnym.

PATRZ str. 3

ŻYCIE i ŚMIERĆ



Z wizytą w **AKADEMII
MEDYCZNEJ** — czytaj na str. 6 i 7

TADEUSZ PAPIER

Jak to łatwo stać się głośnym! Niejaki Herostratos podpalił świątynię i nazwisko zostało w historii. Nasz młodszy kolega po piórze Karol Badziak obśmadował we „Współczesności” Łódź i nazwisko autora zaczyna się odmieńać we wszystkich przypadkach. Prasa łódzka znów replikuje. „Głos Robotniczy” zamieścił polemikę Zbigniewa Chylińskiego. Ba, żebyśmy to mieli do czynienia z rozmyślnym szyderstwem ze strony Badziaka. Można by powiedzieć: dowiecapy człowiek! Ale autor „Złotego berła pomalowanej Łodzi” pisze swoją pocztówkę zupełnie serio. Nie wiem, może Badziak manifestuje we „Współczesności” swoje poglądy na Łódź, aby sprowokować zainteresowanie tym pismem w Łodzi? Wierzę, że „Współczesności” bardzo chodzi o wzbudzenie zainteresowania. Ale to syzyfowe prace. Trzeba by napisać o kilkuset miastach i miasteczkach w ten sposób. A może kolega Badziak chciał, aby mu dostarczyć „empirycznego materiału” do jakiejś szerszej analizy środowiska?

Ale nawet eksperymenty

tego rodzaju muszą mieć jakieś „ręce i nogi”. 27 akapitów wypowiedzi Badziaka zawiera 27 „nieprawd” opartych na zupełnie cudacznych założeniach. I to jest najsmutniejsze. Badziak pisze coś w rodzaju przewodnika po mieście. „Ty, który zbliżasz się do tego grodu...” „Tu, proszę wyćwieczki, widzieliśmy przed sobą fizjonomię Łodzi ze złym grymasem rozczarowania na gębce...” „Ta zde-

Wędrowkę po mieście kończy autor uwagą, że najidealniejszym wyjściem z sytuacji, aby podnieść temperaturę życia kulturalnego miasta, „byłoby wstrzymać proces regresji kulturalnej Łodzi” Nie podaję streszczenia badziakowskiego przewodnika po mieście, nie będę powtarzał tego, o czym już pisała prasa codzienna. (Badziak nazywa te wypowiedzi „ostrymi ripostami łód-

ukazały, zajęły się na krótko pewnym odkryciami, jakie poczynił autor w czasie dotychczasowych gościnnych występów w naszym mieście.

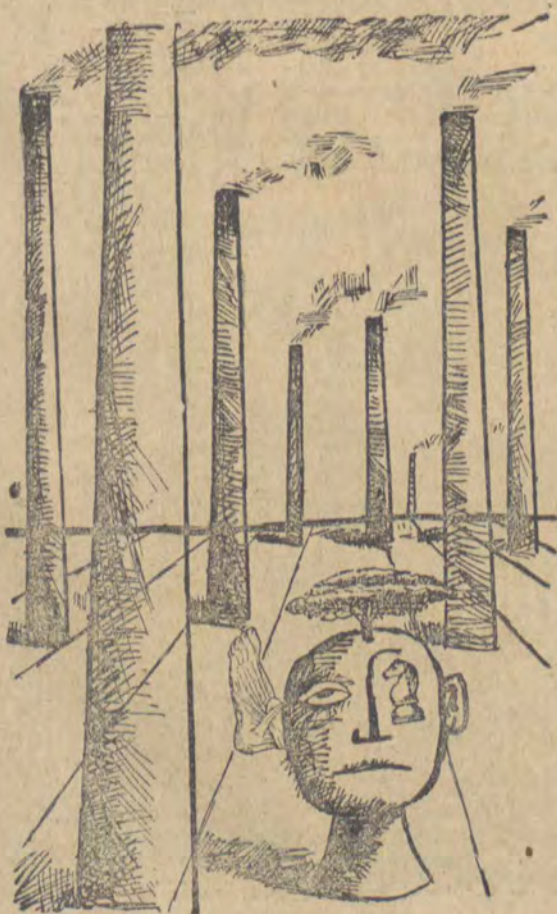
Po pierwsze, Łódź nigdy nie była stolicą w tym sensie, w jakim chce ją widzieć Badziak. Łódź była i jest miastem, którego rozwój spowodował przede wszystkim przemysł włókienniczy. Podstawową funkcją miasta jest ten właśnie przemysł. Związki funkcjonalne między Warszawą i Łodzią nie są tego typu, żeby jedno miasto przypisywać drugiemu, żeby je porównywać. I do-
prawdy wstydem jest tak już nie a nie rozumieć. Elity łódzkie przychodziły i odchodziły, ale robotniczy rdzeń pozostawał. I on jest sercem tego miasta, podstawową miarą uczestnictwa kulturalnego. Oczywiście, nie kruszę kopii przeciwko skądinąd zaszczytnemu mianu „przedmieścia”. Wiem,

MIASTO TO JA!

wania na gębce...” „Ta zde-

kiej prasy nie pozbawionymi prowincjonalnego kompleksu”. I nie odbywam pojedynku z autorem. Ponieważ jednak artykuł Badziaka stanowi jakby pewne miniaturowe „kompendium” (oszlifowane niewybrednymi aluzjami i epitetami pod adresem miasta) tych wszystkich złośliwych publikacji o Łodzi, jakie się dotychczas

**Dokończenie
na str.
2**



MIASTO TO JA!

(Dokończenie ze str. 1)

że to jest metafora. Lecz metafora ma określone granice, właśnie dlatego, że Łódź stanowi odrębny organizm gospodarczy, społeczny, kulturalny o odmiennej historii i strukturze. Historię pomija się zazwyczaj z dwóch powodów: z braku pamięci albo rzetelnej wiedzy.

Badziak, pomijając już powody, nie dostrzegł tego, o czym ptaki zapomnieliśmy swiergotać. Pierwsze lata wojenne Łodzi, to nie czas „chwali i sławy tego miasta”. Czas chwali, ale nie tej, o której powiada Badziak. Od czego to miasto się zaczęło? W roku 45 nie było dwustu tysięcy Żydów,

świećności niewiele zostało. „Taka więcej uboga krewina” z brudnymi ulicami, z których o przeniesieniu się do Warszawy „marzą nawet kelnerki i ekspedientki”. „Az dziw bierze — pyta Badziak — czyżby w warszawskim Spółtiffie lepszą wódkę podawali”.

Zdziwienie jest nieco naiwne. Przed wojną ludzie również ciągnęli do stolicy. To jest chyba naturalne. Dla miejscowej burżuazji wielkoprzemysłowej — jak pisał w 38 roku w „Wiedomościach Literackich” Marian Plech — Łódź to pewnego rodzaju kolonia krajowa, teren eksploatacji fizycznych i umysłowych zasobów ludzkich... Warszawa „to oaza odpoczynku i wycholenia,

Nasza szkoła

Kiedy rano wychodzimy z domu na ulicę spiesząc do fabryki, biura lub szkoły, zły obserwator mógłby zauważyć, że niesiemy ze sobą teczeki z aktami, śniadania lub kawy i księżki. Nieprawda. Przede wszystkim dźwigamy ze sobą naszą godność osobistą. Jest to jak wiadomo przedmiot bardzo cenny. Dlatego też mniemamy, że jedynym pragnieniem naszych bliznich których mnogość po drodze mijamy, jest wydrzeć nam ów skarb, spowodować go, podeptać. Kroczymy tedy ulicami miasta nieznaną armią na froncie: w nieustannym pogotewiu zaczepno-obronnym.

Je więc dowcipem (słodka i guzik, jaki piękny temat!), czuje bowiem, że oto publicznie nadgryziono jej godność osobistą, spieszy więc uszczknąć nieco tego towaru swego wroga, wyrażając przypuszczenie, że a) przybył on z prowincji b) zapewne nigdy nie uczęszczał do szkoły, c) jego matka nie poświęciła należytej uwagi sprawie właściwego wychowania dzieci.

Pyskówka jest coraz goręjsza i ponura. Cały tramwaj się raduje, bo jest jakakolwiek radość. Ale jest to też radość ponura, bo zaangażowana. Powstała dwie partie. Co prawda godność osobista osób postronnych nie została bezpośrednio naruszona, lecz z braku laku wszyscy jakoś się utożsamiają z jednym z kontrawer-

tecnie nadwierzając także godność naprotka — były zjawiskami podlegającymi kontroli mózgu. Mam na to dowód. Mój mały syn, stworzenie jeszcze nierozumne, kiedy poprosi o czekoladkę i spotka się z odmową, nie przyjmuje już potem podanej mu czekoladki uznając, że w ten sposób bronij swjej godności, rzeczy smakowitszej nad czekoladkę.

Opisane wyżej zjawisko nie tworzy wyłącznie jakichś tam klimatów ulicy, zjawisk rzędu i rangi notatki w „Ekspressie” o nieuczestniczących w tym „nieuczestniczących” i innych imponowalnych poczołżego życia. Waży ono „lepiej”, ma np. istotny wpływ na kształt polskiej sztuki. Udowodnić uniwersalność wpływu nadrozwoju

to nieprawda. Czy jakikolwiek młynowy polityk piszący pamiętniki poświęcił je udowodnieniu, jakim to też on był łopogłowym? Nie, a przede powdzenie i popularność byłyby mrowane. Nie mówiac o tym, że potonni miałby dowód, że nie był jednak takim łopogowym, za jakiego wszyscy go uważają. Zrobił to tylko Sławoj-Skladkowski, ale zupełnie niechcąco.

W Olsztyńskiem jest miejscowość p.n. Pupa. Cała ludność uznała, że nazwa nadwiera jej godność osobistą, gdyż wyznaczenie „Jestem z Pupy”, informacja: „Jadę do Pupy” itd. powoduje straszna rzecz — uśmieczki. Ludność przystąpiła tedy do walki o zmianę nazwy Pupy na „Jurdanowo”. Dążność ta wyrażona była w tak gorą-

Lewą ręką za prawe ucho

Idzie sobie podłotek. Cała nie marzył, żeby na jawie spotkać takiego wysokiego bruneta ze swoich snów. I oto nagle przed nim idzie taki właśnie brunet-ideal. Brunet tedy mijając ją — uśmiecha się. Spożycie nie panny ma natychmiast się bomb atomowej. Ten uśmiech zagraża jej godności. Potem panna zasiada np. za pocztowym okienkiem i przez osiem godzin walczy na klientów. Nie, żeby była im niezyczliwa. Tylko, że każdy z nich niesie w sobie potencjalną groźbę przeciwko godności własnej podłotki. A nuż się uśmiechnie?

A więc ulica, oczywiście Piotrkowska, przystanek tramwajowy. Wsiadają ludzie. Wśród nich widzimy pania z siatki nylonowej na zakupy i pania bez siatki nylonowej na zakupy. W czasie wsiadania nylonowa siatka łapie guzik palta pana. Pan się szarpie. Naderżnięta siatka za swą właścicielką wsiada do tramwaju i pan ładuje się tam też wciągnięty za guzik. Następnie awantura. Pan wychodzi z założenia, że i tak co prawda miał wsiadć do tramwaju, ale pragnął to uczynić z własnej nieprzymuszanej woli, nie zaś pod presją siatki i guzika. Ponadto guzik mógł się urwać, a jeśli się nie urwał, to tylko przez przypadek. Kwestia wypowiedziana jest ostro. Pani jest Kobietą Polką. Matka, Żona — nie repliku-

sarzy, ustalają z kim więcej ich łączy i stają po czyjejs stronie. Grają tu więc solidarności płci, wieku, lepiej ubrani stają za dobrze ubranym panem, gorzej ubrane uznają, że ponieważ się tu „załatana kobiecie” itd. Niestety, społeczność tramwajowa jest niestabilna i rozpływa się po przystankach, wraz z nią zaś cała awantura. Gdyby pasażerowie tramwaju mieli resztkę życia społecznego, ustalają z kim więcej ich łączy i stają po czyjejs stronie. Grają tu więc solidarności płci, wieku, lepiej ubrani stają za dobrze ubranym panem, gorzej ubrane uznają, że ponieważ się tu „załatana kobiecie” itd. Niestety, społeczność tramwajowa jest niestabilna i rozpływa się po przystankach, wraz z nią zaś cała awantura. Gdyby pasażerowie tramwaju mieli resztkę życia społecznego,



dzi w tym wehikule, wyłonione tu podziały zostały już na zawsze, pogłębiły i na jakimś tam etapie nastąpiłoby zapewne wzajemne wyrznięcie się ostrymi narzędziami.

Opisany tu wypadek jest fragmentem zjawisk metafizycznych. Nie wydaje mi się bowiem aby nadrozwoj gotowości obrocy godności, poczucie nieustannego takowej zagrożenia oraz przeświadczenie, że broni się jej sku-

poczucia godności sięgając wprawnie lewą ręką za prawe ucho.

Wpiew wyłuszczę Tezy:

1) Polacy milują dowcip i mają poczucie humoru. 2) Polacy uważają swoją osobę za pepek świata. 3) Polacy w uprawianiu i konsumowaniu humoru, dowcipu kategorycznie wyłączają swoją osobę (lub część swojej osoby ucieleśnioną w swej rodzinie, grupie zawodowej itp.) z kręgu rzeczy i zjawisk, które mogą i powinny być przedmiotem i podmiotem dowcipów, mogą być w jakiegokolwiek plaszczyźnie traktowane z humorem.

Zauważmy kosmiczną sprzeczność: jeśli humorystycznie jest najdoskonalszym sposobem wyrażania się o czym lub o kimś, zaś ja jestem najdoskonalszym kims i czymś na świecie, tedy czynienie mnie przedmiotem i podmiotem humoru, powinno być zabiegami najmilszym sercu spośród wszystkich możliwych form admirowania mnie.

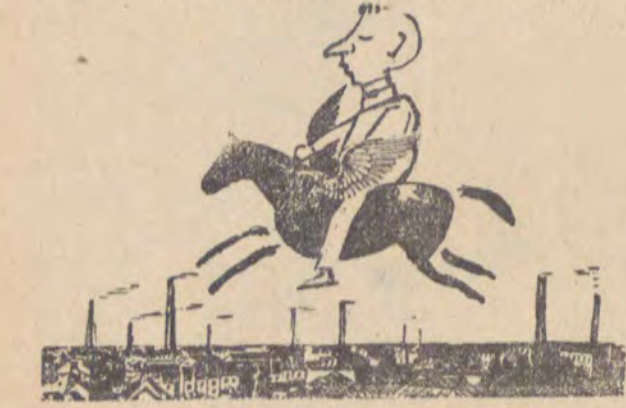
Te logiczna prawidłowość niweluje siła wyższa: poczucie godności — wróg nr. 1 poczucia humoru.

Polowa polskich pisarzy pisze wyłącznie o sobie. To samo dotyczy, co gorsza, dziennikarzy i temu podobnych. Kto w naszej literaturze, sztuce w ogóle, felietnistyce itd. itp. śmiecie się z siebie? Może znalazłby się taki jeden, no dwóch, a i

ych manifestacjach, że miejscowa prasa opisała chryję traktując wodzów kruczaty z łagodnym uśmiechem. Obrazili się natychmiast. Uznali, że ich godność nadzarpnięta została w dwójnasób. Główna Księgowna miejscowej Fabryki Kalafonii (fakt) wysmażyła list do gazety, odznaczając s'e od kruczaty przeciwko nazwie Pupa i... żądając zmiany nazwy Pupy.

Chodzimy tedy ulicami taszcząc swoją godność osobistą. Nie wiem jaki to ma kształt, smak lub kolor, ale rzecz sama w sobie przecież istnieje. Mało, rzeźbi ona klimat stosunków międzyludzkich, grymasy naszych twarzyczek, współprodukuje ogólne pojęcia, wpływa na kształt twórczości, tworzy odruchy pojedyncze i zbiorowe i dezintegruje pasażerów tramwaju, w którym każdy wiezie ten swój skarb.

BELFER



których wymordowali historycy; nie było stu tysięcy Niemców, którzy wymygnęli. Przyszło do Łodzi trzysta tysięcy nowych ludzi ze wsi. Ludzi surowych, pełnych najbardziej wstecznych nawyków. Miasto od nowa zaczęło się „stawiac”. Rola Łodzi w pierwszych latach po wojnie, to przede wszystkim rola wielkiego rynku pracy, do którego ciągnęli chłopcy z przeludnionej i biednej wsi, rola wielkiego producenta, który miał całe fabryki, gdy inne stały w gruzach. Saldo zameldowań wciąż jest dodatnie w stosunku do wymeldowań. Do 1953 roku liczba przybyłych ze wsi jest wyższa niż liczba nowonarodzonych w Łodzi. Te ruchy ludnościowe wpływają na strukturę miasta, jego charakter.

dekrety rządowe można wydawać i w namiocie polowym. Można również i na Piotrkowskiej. Stolicą Łódź nie była nigdy, mimo że tu urzędował premier. Miasto rozwijało się niezależnie od przypadkowych gości, którzy założyli tutaj przejściową kwaterę polową... Ale czy z racji pobytu w Łodzi Brzechwy, Jastruna, czy Broniewskiego, wynikało powszechne życie kulturalne? Czy fakt ten zmienił tradycyjne życie w zamkniętej dzielnicy łódzkiej, ni to wsi, ni miasta? Nadmiar wiedzy może przeszkadzać, ale chyba nie tak dalece jak jej całkowity brak. Oczywiście, że „dwór” był jakos tam związany z miastem, był składnikiem środowiska, ale środowiska wąskiego, choć istote. A kolega Badziak pisze: stolica i zaraz dodaje: był złoty wiek Łodzi. Chwyć ze stolicą jest mu bardzo potrzebny. Ten chwyć znakomicie usprawiedliwia jego feudalną koncepcję kultury. Według tych założeń o kulturze decyduje dwór, smietanka „ekstrakt”, elitarna grupa. Także gęsta sieć instytucji, która pokrywa miasto. Dopóki, w robotniczej Łodzi mieszcili się centralne instytucje rządowe, kulturalne, miasto miało swój „czas sławy”. Robotnicy chodzili do teatrów, a pisarze byli znani i chodzili „w lud”. Centrala przeniosła się do Warszawy i oto z dawnej

miejsce zaspokajania bardziej wybrednych potrzeb, niekoniecznie duchowych...” gdy Łódź ledwie, ledwie odychała nie popierana materialnie i moralnie „bez mecenasostwa w jakiegokolwiek postaci”. Stąd prosta konsekwencja: „wszystko co lepsze ucieka z Łodzi do Warszawy”, bo tam „odpowiednia atmosfera”, „zespół i ustrój sprzyjających dla ich talentu możliwości rozwojowych”.

To są argumenty sprzed dwudziestu laty, odnoszące się do innego układu i pisane w klimacie miłości do miasta, dlatego co najmniej dziwne wydaje się przeniesienie ich niemal żywo do arsenału dzisiejszych wyśzydaczy prowincji. Mój ty Boże! Dotychczas unikałem jak ognia tego słowa, ale przecież musiało ono paść. Niechże będzie i prowincja. Przecież nie o to chodzi. Zawsze są miasta więcej lub mniej kulturotwórcze, czy też żywe pod względem odbioru wartości kulturalnych. Wybór miasta robotniczego za przedmiot drwiny czy pogardy a nie analizy, jest, mówiąc delikatnie, nieładny. Jest złośliwy. Złośliwy wobec ludzi, którzy najczęściej pracują i nie zawsze najlepiej zarabiają. Złośliwy i dlatego że wywróżony z fusów po kawie. Wystarczy zajrzeć do Rocznika Statystycznego m. Łodzi, aby stwierdzić, że frekwencja w teatrach nie spada, że przeciętna na przedstawieniach wynosi w skali 1958 roku ponad 500 osób. Jeżeli podaje się spadek zainteresowania filmem jako dowód marwoty, a nie widzi się faktu, że sto tysięcy ludzi ogląda w tymże samym mieście program telewizyjny, to ta złośliwość staje się... wprost niezrozumiała. To, co jest normą dla całej Polski, a więc niski stopień wykształcenia słabe czytelnictwo, dla Badziaka występuje tylko w Łodzi. Mnożyć jeszcze te nonsensy?

Charakterystyka środowisk twórczych oparta jest na dorywczych, powierzchownych obserwacjach, a nieraz, można podejrzewać, i plotkach. Gdzie to kolega Badziak słyszał, że pisarze te-

go miasta nie spotykają się ze swymi czytelnikami? Jest wręcz przeciwnie. Łódzcy pisarze pobili właśnie wszelkie krajowe rekordy, jeżeli chodzi o kontakty z czytelnikami. Nie wiem zreszta czy to jest takie dobre. Co za osobliwy model pisarza rysuje Badziak! Do czego ma służyć pisarz według niego? Żeby żyć z codziennej gażety? Należało raczej atakować konwencję wydawniczą, wykazać rażące dysproporcje w tej mierze. To, co stanowi rdzeń sztuki, a więc i pisarze powinni więcej żyć własnie ze sztuki z książek, a nie z rozmieniania się na drobne.

„Odnowa” umieszczając niedawno wypowiedzi młodszych twórców delikatnie im wypomniała, że dzielą świat na siebie i resztę ale widzą tylko siebie. W Łodzi tymczasem są kluby młodzieżowe, jest Pstrąg, jest na Grabowej 26 klub, do którego przychodzi młodzież ze szkół metalowych, zawodowych, z ulicy. Niektórzy młodzi nie widzą tego interesującego ruchu. Czy widzi Badziak? Nie widzi, a ten redaktor z Warszawy zobaczył. Oczywiście, wydarzeniem kulturalnym winna być książka literata. Ale trzeba pamiętać, że jak nie ukaże się w jakimś czasie

pozycja z literatury pięknej to na to miejsce w Łodzi wychodzą cztery pozycje naukowców. A nauka należy do kultury. Jeżeli pominąć Badziaka, wszyscy tak uważają.

Nie chcę zreszta prosto wać nieścisłości. Miasto na-

szcze nie jest idealne i ma swoje grzechy. Kto miasto lubi, to te grzechy będzie umiał wykązać. Gdyby kolega Badziak napisał, że w Łodzi nie istnieje gruntownie rozbudowany system oświaty, że w tym zakresie niektóre bogate fabryki zmar-

nowały miliony, że jest brak porozumienia między instytucjami oświatowymi, to i jego wizerunek miasta nie dotknąłby nikogo. Choćby je nazwał prowincją i przedmieściem. Ale on tego nie napisał. Po co więc pisał?

TADEUSZ PAPIER



Łódź jest podobno również niewdzięcznym tematem dla fotografików

Wolo - W. Kraska

„Śląsk“

W wędrownie artystycznej po Stanach Zjednoczonych zespół — „Śląsk“ odwiedził również jeden z najbardziej uprzemysłowionych stanów — Pensylwanię. „Śląsk“ podbił serca Polaków ognistym tańcem i piękną piosenką, a Polacy w Pensylwanii podbili „Śląsk“ gościnnością i serdeczną opieką w czasie tej radosnej wizyty.

Burmistrz miasta Pittsburgh, Joseph M. Barr ofiarował członkom zespołu samochody do dyspozycji w czasie pobytu w 700 tysięcznym mieście. Nasz zespół skorzystał z gościnności ojców miasta i udał się na zwiedzanie tego ogromnego centrum przemysłu węglowego i stalowego. Naszym artystom towarzyszył

miejskowy fotoreporter. Poznać go łatwo po typowo amerykańskim charakterze uchwyconych scen.

Nasz zespół wystąpił dwa razy przed 6-tys. widownią, na jednej z większych scen tzw. „Pittsburgh Syria Mosque“. Wielu spośród widzów to Amerykanie polskiego pochodzenia. Jak wielką wagę przywiązują Polacy w USA do odetchnięcia „świeżym powiewem ojczyzny“ świadczy fakt, że niektórzy z nich przyjechali na przedstawienie z miejscowości odległych o 160 km. Prasa amerykańska pisała że rzadko w ciągu całej historii kulturalnej Pittsburgha zdarzyło się aby artystów przyjmowano z tak wielkim entuzjazmem jak nasz „Śląsk“. Na jednym z przedstawień zespół był 6-krotnie wywołany na scenę po spektaklu.

W U S A



Nasi artyści rozpoczęli zwiedzanie miasta od wizyty na dziedzińcu University of Pittsburgh, gdzie stoi 42-piętrowy drapacz chmur. Według przewodnika ma to być najwyższy na świecie budynek szkolny. Na zdjęciu (od lewej) stoją: Zygmunt Galoch, Miss Phyllis Shoemaker z miejscowego wydziału wymiany kulturalnej, tancerka zespołu Maria Szatanik, Aga Hadyna, żona dyrektora zespołu, oraz Antoni Korczewski, menażer zespołu.

Ona przegląda się w lustrze, a... fotograf amerykański przyjrzał się jej i... zdjęcie gotowe. Amerykanie obserwując nasze sympatyczne „Ślązaczki“ na pewno myśleli: a jednak kobiety są wszędzie jednakowe — przynajmniej wszędzie interesują się ładnymi ciuzzkami. Alicja Borkowska nie jest jeszcze pewna czy ładnie jej w tym, bądź co bądź niecodziennym u nas kapeluszu. Amerykański fotograf był widocznie zdania, że najważniejsza jest jednak ładna buzia, może ma rację.

Jedna z członkiń zespołu postanowiła sprawdzić swoje umiejętności konwersacyjne. Sądząc ze zdjęcia wszystko jest, jak mówią Amerykanie — o key. Zarówno Alicja Borkowska jak i Ronald Mc Mullen, student wydziału inżynierskiego, są bardzo pochłonięci wesołą rozmową. O czym oni mogą rozmawiać?



Występ „Śląska“ na scenie tzw. „Pittsburgh Syria Mosque“



Przy większości uniwersytetów amerykańskich istnieją szpitale. University of Pittsburgh ma swoją klinikę ortopedyczną dla dzieci. Nasi artyści mile się zdawali, gdy dzieci zaczęły wypowiadać poważne opinie na temat tańców i piosenek polskich. Wkrótce okazało się, że dzieci oglądały nasz zespół w programie telewizyjnym i łatwo rozpoznawały niektórych członków „Śląska“. Dziewczynka (na zdjęciu) rezygnuje nawet z czytania ulubionych komiksów, by pogawędzić sobie z niecodziennymi gośćmi z Polski.



Jak się okazało, „Śląsk“ umie nie tylko ładnie śpiewać i tańczyć, ale i... gotować. Na przyjęciu u państwa Gill z Pittsburgh tancerka zespołu Maria Szatanik podbiła serca wszystkich swoją sztuką kulinarną. Był to wielki dzień dla pp. Gill, którzy kilkadziesiąt lat temu wyjechali z Polski, a mimo tego nie zapomnieli o kraju. Mile upłynął wieczór przy polskiej szynce i... amerykańskich cocktailach.



JACEK LEBEN

W KUBAŃSKIM KOTLE WCIAŻ WRZE

Na Kubie jest pół miliona telewizorów. Kubańczycy jak wszyscy ludzie Południa, późno się kładą spać. W dzień praży słońce, o północy wre życie na ulicach i w kafejkach. W ekranach pół miliona odbiorników telewizyjnych nieraz przez sześć godzin aż do drugiej w

zysku, o zbrodniach, o zaco- fanu i nędzy. Fidel ma za- cały swój kapitał poparcie mas ludowych. Dlatego utrzymuje te masy w napięciu, w stanie pełnego zaangażowania w rewolucję.

Z prywatnych lotnisk na pięknej Florydzie startują „prywatne samoloty”, które niesą nad miasta kubańskie i plantacje trzciny cukrowej bomby — śmierć i pożogę.

Przez ulice Hawany i innych miast pędzą nieraz z szybkością 150 km na godzinę luksusowe limuzyny, z

no na Kubie reformę rolną, z której skorzystało dziesiątki tysięcy farmerów. W sześciu prowincjach Kuby utworzono 400 spółdzielni rolnych hodowlanych i rybackich, otrzymały one od rządu 1.260 traktorów wartości 8 milionów dolarów. Zmniejszono wysokość czynszów o 50 proc. opłaty za energię elektryczną zmniejszono o 33 proc. Otworzono setki nowych szkół, zlikwidowano przemysł i łapownictwo. Zbudowano blisko 5 tysięcy nowych domów dla robotników. Ekipy lekarskie docierają w góry do najbardziej oddalonych zakątków kraju.

Rezerwy dolarowe Kuby zmniejszają się. Bezrobocie wzrosło do 700 tys. osób. Prywatny kapitał nie chce inwestować w budownictwo, bowiem zlikwidowano spekulację mieszkaniami, zmniejszono czynsze. Kupcy są niezadowoleni, bowiem drastycznie okrojono import artykułów luksusowych.

Zmalała liczba turystów w wyniku zorganizowanej antykubańskiej kampanii podjętej przez prasę amerykańską.

Wpływowi politycy Stanów Zjednoczonych wzywają raz po raz do „skończenia” z Fidel Castro, straszą ekonomiczną blokadą. Organizują międzynarodową kampanię pod hasłami antykomunizmu. Rezolucja Kongresu amerykańskiego stwierdza w gładkich, zimnych zdaniach, że „rząd USA uznaje prawo rządu kubańskiego do przeprowadzenia reform społecznych, gospodarczych i politycznych, jakie uzna on za porządane. Z drugiej jednak strony rząd USA musi się domagać prawa do obrony swych prawowitych interesów”. Zdania są gładkie, pierwsze ma ukryć drugie. Bowiem prawowite interesy USA to interesy koncernów elektrycznych, właścicieli cukrowni i plantacji cukrowych, którzy są przez rząd Fidela Castro wywłaszczani (zresztą za odszkodowaniem). „New York Times” musi jednak stwierdzić, nie bez żalu zresztą, że „dni kie-

(Dokończenie na str. 10)



Chłopi wiewatujący na ulicach Hawany

nocy tkwi brodatą twarz tygodniem zaginął samolot premiera Fidela Castro. Fidel przemawia. Przy ustach trzyma długie nieodłączne hawańskie cygaro i miliony słuchaczy fascynuje gestem, mimiką i treścią swych przemówień.

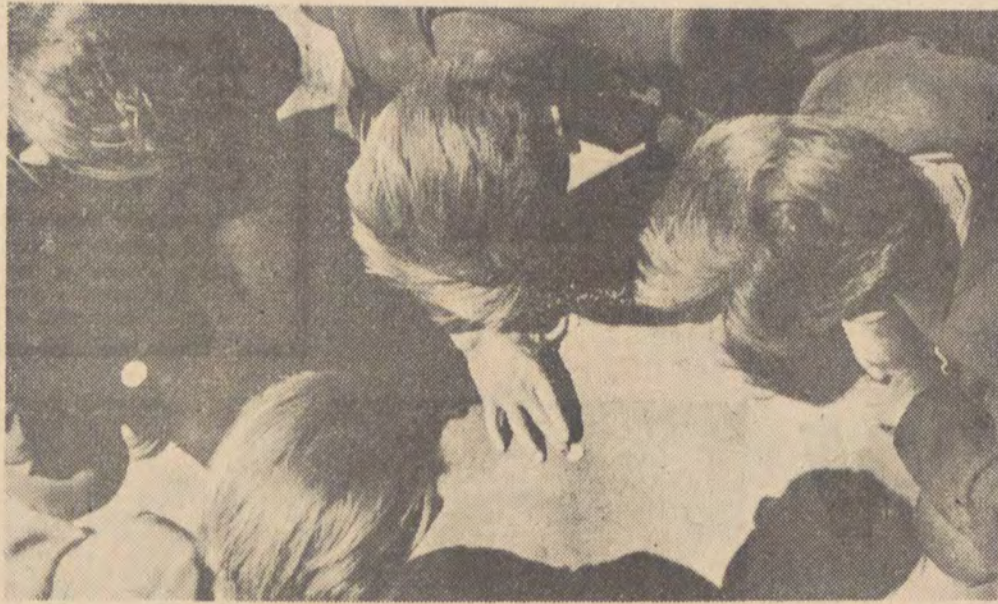
Przemawia nieraz do tysięcznych tłumów również godzinami i również w sposób fascynujący.

Kiedy rewolucja kubańska jest w niebezpieczeństwie, ulice pięknej Hawany wypełniają się po brzegi setkami tysięcy farmerów w kolorowych koszulkach, z krótkimi nożami u pasa. Na wezwanie swego przywódcy ściągają do stolicy by mu „pomóc rościć rewolucję”.

Londyński „Times” zalicza do „minusów” premiera Castro „agresywność jego i jego najbliższych współpracowników, zbyt ostra dla przeciętnego umysłu anglosaskiego”. Oczywiście chłodny umysł Anglosasów urażony jest, kiedy Fidel nazywa rzeczy po imieniu, mówi o wy-



Castro wśród najbliższych przyjaciół



Zadrowawie-rocznik 40

Mur nasiąknięty wilgocią lekko splekany. Może okupacja, ale pewnie najwyklichsza starość. Czasem człowiek z ósmym krzyżykiem, to już tak wyschnięty i pomarszczony, że ledwie można patrzeć. A mur tylko lekko splekany. Na pawilonach i tego nie znać, pewnie niedawno tynkowane? I jakoś nie przypomina tych czasów, kiedy Prus przyjeżdżał tutaj, do Studzieńca, a potem w prasie naciągał błękitnokrwistych na sturublowe ofiary dla wykołonej młodzieży. Pawilony milczące. Po ludzku, wyrozumiale. Pokolenia nieletnich zamieszkiwały te mury, wydeptowały alejki. Rocznik 63, rocznik 18. A teraz mój rocznik 40, okupacyjny i najmłodszy — rocznik 45.

Przywożą ich zawsze pod jesień. Nikt się nie umawiał, ale jakoś tak wyszło. Stają spokojnie w kancelarii, wyglądają przez okno. Obojętnie, jakby wszystkie urzędowe formalności dotyczyły zupełnie kogo innego. Nazwiska? Imiona? Podają wyraźnie to nie ma większego znaczenia. Gdy pada pytanie: wiek — są ostrożniejsi, bo może on decydować o wyroku. Potem zostają tylko nazwiska. Imiona się zacierają jak wszystko tamto za murem, w Łodzi, Piotrkowie czy Kutnie. Oceniają wzrokiem monotony krajobraz za oknem, oceniają fachowo sterczące bary „władzy”. Czasem jednego czternostolatka pilnują dwaj rośli milicjanci, Frajerów nie ma! Jak się daje „prysnąć”, to „pryska” się po drodze. I znowu do Łodzi, Piotrkowa czy Kutna...

Tak co roku. Jedni odjeżdżają stąd na zawsze, poprawczak nie jest z gumy. Wyprowadza się ich za bramę i ceszę, żeby was tutaj więcej nie było. Bez czułości. Drugich przywożą. Łaszki zabierają w depozyt, pod klucz. Jeżeli robaczki wydeptują ścieżki we włosach — włoski musowo skrócić. A tutaj masz, bracie, czarny mundurek, boś jest odtąd wychowankiem. Poprawczak, znaczy się, nie ma co protestować. Trzeba jakoś przetrzymać, choćby na „kiblu” przesiedzieć. Mała poclecha, ale zawsze różnie. Po Schronisku, gdzie trzymają krótko (żadnych papierosów i tych innych rzeczy). „Poprawczak” jest „okey”.

Za oknem kancelarii krajobraz monotony. Gospodarczy, jakieś szopy, stajnia, podwórce z resztkami słomy. Dwaj chłopcy stoją oparci o otwarte drzwi — bije od nich ciepło i koński zaduch. Jeden wyciąga rękę z rezerwaną paczką „Sportów”.

— Ano dobrze jak pan nie chce to zapalimy te „wolnościowe” — grubymi paluchami rozgrzebuje moje „Grunwaldy” przywiezione z Łodzi. — A to pudełko skąd pan wytrzasnął? — zobaczył nagle zapalki, zwykle 20 gr. paczka. I nieoczekiwanie zmrużył oczy? — No to co, zamienimy się? Wylęgnał nowiutkie pudełko zapalek.

— Pełne, można sprawdzić.

I potem dla wyjaśnienia: — Bo tutaj rzadko można dostać jakiś nowy okaz.

— Filumenistyka? — obserwowuję drugiego — który się gapi na szopę niby obojętnie. Ale błysk oczu zdradza go. To on mnie obserwuje.

— Tam miałem znaczków! A tutaj i to musi wystarczyć — puka ostrożnie w pudełko.

— A jak było tam? — unikam słów drażliwych. Pojeli to i patrzają z drwiną.

Nawet ten drugi przestał udawać, spojrzal swoim bezczelnym wzrokiem. Poprawił furaczkę na głowie i:

— Dobrze było.

— A tutaj?

— Dobrze jest jak jest, ale tam lepiej.

— A dawno tutaj? — mówię pokonany.

— Trzeci „mlecz” i to za baby. Ano tak — przydepnął papierosa. — Właśnie za baby.

Nagle zaczynam się uśmiechać, a oni patrzą ze zdziwieniem. Jesteśmy to samo pokolenie, ten sam rocznik niemal. Mają za sobą areszty, sądy, sprawy. A ja nigdy nie zapłaciłem choćby mandatu.

Zrozumiełi mój uśmiech opacznie.

— Pan nie wierzy — powiedział jeden z wyrzutem.

— A na to się nic nie da poradzić.

Teraz już wiem. Jestem obcy — wolny, człowiek stamtąd, mogę w każdej chwili odejść, wsiąść w pociąg do Warszawy, a jeśli mi wystarczy pieniędzy, jutro polecieć samolotem do Gdańska, a pojutrze zwiedzać Wawel. A ich zamknięto tutaj, żeby tacy jak ja, ludzie stamtąd, mogli bezpiecznie wsiąść w ten pociąg czy samolot, albo do tramwaju, albo spacerować po ulicy. A poza tym nie ma między nami różnic.

Ten „za baby” wzruszył nagle ramionami i zaczął się oddalać wzdłuż siatki. Widziałem tylko plecy. Tak musiał wyglądać Zadorow, bohater Makarenki z „Formatu pedagogicznego”. Dobry Zadorow który potem skończył uniwersytet. Bo prawda o nieletnich jest tylko jedna, ta z Makarenki: „nie ma złych wychowanków, są tylko źli wychowawcy”.

Zaczyna się zawsze od zabawy: kopanie bunkrów, przejeżdżanie w władanie strychu. Listy z pogrózkami od „Czarnego Kota”, od „Nie-widzialnej Ręki”. Znamy przecież takie dziecinne zabawy: w Indian, „w złodzieja i policjantów”. Potem to nie wystarcza. To są przeważnie żywe, inteligentne dzieci, którym nie wystarczy jałowa zabawa w wieczne takiego samego „złodzieja i policjantów”. Potem następuje tylko chwila nieuwagi rodziców. — Zaczynają bawić prawdziwe kradzieże dla przyjemności narażenia się na niebezpieczeństwo: jabłka ze straganu, portmonetka w tramwaju.

Wagary. Kłóż z nas nie Dokończenie na str. 4

(Dokończenie ze str. 4)

nawiewał ze szkoły nad jaką rzekę czy staw? Albo „pryśnięcie” całą paczką do kina na film o kowbojach? To są emocje, które każdy niemal przeżywa. Ale przecież może się zdarzyć, że w pewnych okolicznościach nastąpi prawdziwe „pryśnięcie” z domu na trzy, cztery dni. Nocowanie w bunkrach i na strychach. Alarmy z domu i milicji. Wreszcie środki wychowawcze z kodeksu karnego: „upomnienie, oddanie pod dozór odpowiedzialny rodzicom, dotychczasowym opiekunom lub specjalnemu kuratorowi, albo umieszczenie w zakładzie wychowawczym”. A te tych, którzy po ukończeniu trzynastu lat „mogą rozpoznać znaczenie czynu i pokierować swoim postępowaniem” oddaje się do domu poprawczego.

Przywożą ich zawsze pod jesień. Cały zakład, stu osiemdziesięciu chłopców stoją wyprężony, skrzydła zagięte na betonowym placu

takiego nie odwrócę, tylko chłopakiem powiem: Róbcie dalej, a do niego: — Zębami będziesz wyciągał. Jak się fest namęczy paluchami, to mu dopiero któryś z chłopaków da obcęgi. A potem już nie bije. Weźmie się do roboty uczciwie. A gdy stąd wyjdzie, już fach ma w ręku i listy pisze.

Warształy są w oddzielnym budynku na dole, szkoła na górze. W korytarzu słychać warczenie mechanicznych pil. Kiedy je wylaczają, robi się przeraźliwie cicho i wtedy słychać delikatne pukanie. Młotki u szewców. Warształ ślusarski jest gdzieś indziej, każdy tam by się chciał dostać, tylko brakuje miejsca. Technika interesuje wszystkich. Jest sporo chłopców, którzy tam podbierają się do samochodów. Nie żeby sprzedawać czy rozbiierać, tylko przejechać się kawałek. Tutaj na miejscu prowadzi się kurs traktorowy.

Umazani w smarach po trądzi grzebią w motorze

nie, było lubią, no, a konie — to się już nie mówi.

Mur jest niewysoki, lekko spękany. Wystarczy trochę podciągnąć się na rękach i już na drugą stronę. Choć brama jest otwarta cały czas, żelazna, malowana na czerwono, podparta cegłą, żeby się nie zamykała. Jakby ktoś chciał uciekać, to nie ma specjalnego kłopotu. Niedaleko od muru droga skręca w lewo, a stamtąd już blisko do kolei. Nowi sobie obiecują ucieczkę, a potem zapominają. Rano szkoła, po południu praca, albo odwrotnie. W szkole dryblasy czytają z książek dla czwartego oddziału. Jest biblioteka, (spadek po jakimś kursie bądowlanym). Dużo cementu i cegieł, mało tego, czego chłopcy naprawdę chcą. Szesnastoletnie, osiemnastoletnie dryblasy zaczytują się w indiańskich przygodach. Kurs był nastawiony na ce-

pod pięćdziesiątkę oparł rower o ścianę baraku, kiwa do kogoś ręką. Przy ścianie siatka a za siatką studzienscy chłopcy wywożą na taczkach śmieci. Pokazują na nich.

— Ja tam panie, nie nie wim — mówi mężczyzna i rezygnuje z dalszego wymachiwania ręką. Wsiadł na rower, odpycha się od śiany: — Ja tam nie do tego nie mam, oni tutaj są, no to są, a my jesteśmy naród spokojny.

Izolacja. Zakład jest odgrodzony od świata nie murem spękany, ale ludzką obojętnością. Widać ją nie tylko przy tej drodze do wsi, lecz i na ulicach miast. Studzieniec zostaje sam ze swoją monotonią pozytywnych prac. A za murem jeżdżą wozy i auta, chodzą ludzie i wzruszają ramionami. Albo dają dobre rady.

Przyjechałem do Puszczy Marjańskiej pociągiem, od stacji jest trzy kilometry końmi do Studzienca.

Ostatnio dziennikarze Studzieniec bardzo rzadko odwiedzają, w pięćdziesiątym szóstym roku „poprawczaki” były modne, pisali wszyscy. Tutaj pamiętają jeszcze bułnego żurnaliste z pewnej łódzkiej gazety. Przyjechał z białymi wypuszczoneymi mankiecikami „Warszawa”, zwołal na gorąco naradę personelu, indagował, wycierał nos, tylko mu znaczek PZM błyszczał w klapie. I napisał. Miał wziąć obraz zakładu pod mikroskop, wyszło, że patrzał przez mankieciki, a nie przez soczewkę. Zeszmacił personel, dodał, że las neć i w ogóle zdążyli się kraty!

Krat nie ma, nie tutaj nie przypomina więzienia. Tylko, że wychowawcy chodzą w niebieskich mundurach, a chłopcy w czarnych. Bez zezwolenia nie wolno opuszczać zakładu. Tyle że studzienska rzeczywistość jest jednostajna: pobudka, sygnał na positek, apel.

Życie Studzienca jest monotonne. Kiedy się da, chłopcy przemycają wino. Ale zazwyczaj i to się nie udaje. Wychowawcy mają oczy z przodu i z tyłu. Przywieźli wino w workach z mąką, schowali, wydało się. Na ich oczach potulcono te butelki a plyn wyciekał na ziemię.

Wieźli mąkę dla zakładu traktorem ze Skierniewic. Po drodze przysiadł się facet lekko podpity. Przeczytał na platformie: „Zakład Poprawczy, Studzieniec”.

— No — mówi — chłopaki, zrobimy interes. Ja wam zaraz odpalę pięć stówek, a wy mi zrzucicie dwa worki mąki.

Studzienscy chłopcy tylko do siebie mrugnęli.

— No, dobra daj pan forsę i sprawa załatwiona — mówi jeden.

Facet rozwałił się na workach, wyciąga portfel, a tam pieniądze tylko szeleszcą. Kupili po drodze wina.

— Staniemy — mówią — napijemy się trochę.

Wypili, facet jeszcze raz wyciągnął portfel, gładzi pieniądze. Wiatr zawiał, jedna pięćsetka pofrunęła. I szukaj wiatru w polu. Rozgrzebywali trawę z dziesięć minut, przepadło.

Ruszyli. Facet rozkazał: — Tutaj zrzucacie.

— Lepiej pan zsiadał sam, bo bebechy mogą pęknąć na bruku.

Odjechali, facet został bez worków i bez tysiąca w kieszeni.

— Widzieliście go, mąkę

WŁADYSŁAW STRZELECKI

ZIEMIA

(Fragment)

Mienisz się rozlogami zbóż, traw i koniczyn, W pasy miedz sełniętymi kłami — kępa jeżyn. W owoc porastająca najspokojniej leżysz, Wsłuchana jednakowo w srebrny śpiew słowiczy.

Od burz cię nie uchroni cienista opończa Lasów, które, jak skrzydła, przeciwstawiasz chmurom. Krzepniesz, gdy gromy biją poprzez wszystkie jury I pozdrawiasz dni wrzące dzwonieniem skowronczym.

Zawzięty chłop oczyszcza grzbiet twój z resztek perzu. Nie śpi w noc, waży w dłoniach owoców twoich ciężar. Usłotkrotniony mózgiem w przyszyły chleb się stęży. Rośnie rozczyn na pokarm, słońcem kipiąc z dzieży.



zakładową będziemy mu zrzucić — tłumaczyli się potem. — Jak jest ktoś frajer i stawia, to odpędać go nikt nie będzie.

— A ta druga pięćsetka?

Przyznali się dopiero lekarzowi. Dr Piwoński pracuje w zakładzie trzydzieści parę lat. Przyszli do gabinetu, położyli na biurku pieniądze, wymiętoszone. Ale w całości. Lubią też dyrektora, Jana Demańskiego. Dyrektor zawsze staje w ich obronie. Dyrektor daje urlopy.

Urlop pozwala na konfrontację rzeczywistości. Żywiolowa, pośpiśszą konfrontację. Kolega się ożenił, tam gdzie w Kutnie. To znów inny kolega poszedł na uniwersytet. Urlop pozwala na spotkanie z dziewczyną.

W Studzieniu, wiadomo. Jeśli ktoś za wiele pracuje sprawa sobie ubranie, szuka kontaktu z murem — ucieczka. Więcej latem, bo wtedy najłatwiej. Nie każdy potrafi, jak Głowacz, zimą. Głowacz jest starszy ode mnie pewno i silniejszy. Kiedy wszyscy pracowali, rozbił szafę, wyciągnął wychowawcy dwie pary spodni i poszedł z tym na wieś. Spodnie sprzedał i prosto do Wrocławia. Przeważał się parę dni, własna rodzina zawiadomiła milicję i nagle przywieziono go. Za coś takiego idzie się do izolacji na czternaście dni. Czasem dyrektorowi wcześniej zmięknie serce. Izolacja ma trzy metry na trzy, wieczorem wstawiają pryczę z pościelą. Żadnych papierosów. Jeśli chłopcy lubią skazanego, to papierosy pali i tak.

Ale z Głowaczem inna sprawa. Jest pełnoletni, podlega sankcjom prokuratorskim. Zakład poprawczy nie potrafił go wychować — zaszokowała izolacja. Izolacja na dłuższą metę nie przynosi dobrych rezultatów, rzadko wychowuje więźnia. Gwarantuje tylko bezpieczeństwo. Receptywa po domu poprawczym nie zdarza się aż tak często, ale jest. A bywa ona wynikiem faktycznej izo-

lacji od świata. Wyjście z zakładu traktują niektórzy jako doskonałą okazję do działania tylko dlatego, że nie są przyzwyczajeni do rzeczywistości za murem, że przywykli do życia pod kłosem. Wolność ich dusi.

Odjeżdżałem wieczorem. Do pociągu miałem blisko godzinę, gadałem swobodnie z chłopcami, którzy zaprzęgli konie.

— Tylko po drodze nie przegrzej koni — mówi ostrzegawczo jeden z chłopców.

Światła Studzienca powoli przegasają, wóz zapada się w koleiny pełne roztopów.

— Syzyf — opowiadam — to był taki facet, któremu za karę kazano wchodzić pod górę z wielkim kamieniem. Co wlaził, to spadał, a kamień za nim. I tak ciągle.

— No, no — popęda tylko konie.

Koleiny coraz głębsze. Coraz bliżej światła stacji. Trzęsę się w cienkim paletku, a tamten siedzi obok mnie zakutany w łańcuchach.

— Bo to był frajer — mówi nagle. — A wzięłyby i potłukł ten kamień drogę by tu było czym wybrukować i leżę na górę.

— Kiedy nie można tej całej historii zmieniać...

Nasze zakłady poprawcze niewiele się zmieniły od osiemdziesięciu lat. Wciąż izolacja, z wyjątkiem najnowszego łódzkiego eksperymentu *).

— Ano, Ano — mówił do koni.

Pal go diabli. Może rzeczywistość zrozumiał?

KONRAD FREJDLICH

O eksperymencie tym opowie następny reporaż z cyklu „Zadorowowie — rocznik 40”.

odqtoſy 5

KONRAD FREJDLICH

Za murem SYZYFA

apelowym. I wtedy przychodzą nowi. Po dwu dniach znają wszystkie kąty. Po dwu dniach nie można już poznać, że to nowi. Tyle, że gorzej pracują.

— Przyjdzie taki nowy, na człowieka spojrzysz ślepiami, jakby go chciał zadłgać. Odwróć się głową, a on chwyci gwóźdź i bije go w warsztat.

Mistrz stolarski bierze pajdę chleba i powoli smaruje masłem.

— Tutaj trzeba mieć oczy z tyłu i przodu. Nawet się do

cały dzień byle im tylko pozwolic. Gorzej jest z robotą w polu. Osiedzieliś lat temu zakład otwierało Towarzystwo Osad Rolnych. Dali trochę ziemi i macie — pracujcie, róbcie pozytywną działalność. Tej ziemi jest blisko 100 ha, poza tym sad. W sadzie to jeszcze można pracować, ale w polu? Tam się chodziło na bazy, na targowiska, na bocznicę kolejową, a tutaj macie; chłopcy chcą z nas robić? Jest trochę chłopców ze wsi i ci na pole wychodzą chę-

ment, więc z czytaniem „gips”.

Ladne to dla artystycznego zdjećiarz z jednej strony droga do wsi, z drugiej sześć pawilonów, sześć grup chłopców — rzeczywistość studzienska. Stu osiemdziesięciu dorastających chłopców którzy „mogą rozpoznać znaczenie czynu i pokierować swoim postępowaniem”. Ale naprawdę to nie wiedzą nie o życiu za murem i ludziach stamtąd. Bo za murem przebywali w ograniczonym świecie „przygody” wciąż w takim samym klimacie poczekalni kolejowej, bazaru, targowiska. Albo w jeszcze węższym światku złodziejskiego podwórka. Rzeczywistość za murem była, jak już ktoś powiedział, tylko pływającym tłem, ale temu tłu zabrakło oddechu, zabrakło pleneru i perspektywy. Do zakładu przynieśli swoją wiedzę o życiu podglądającym tylko przez małe okienki dziurki od klucza, widzieli tylko najbrzydszy fragment niedoskonałego, ale przecież pięknego obrazu.

W rzeczywistości studzienskiej, zaczynają się liczyć tylko pobudki, sygnały trąbki na posilki, musztra raz na tydzień przez godzinę, wojskowa musztra z krokami defiladowym i wszystkimi innymi hecami. Sypia się w olbrzymich salach — trzydzieści parę łóżek ustawionych pod centymetr. Panuje tutaj zawsze lekki zaduch, nie wszyscy chcą myć nogi. Tych komendant sali, najślinniejszy chłopak, wysła do mycia. Wracają, a po drodze brudzą się jeszcze raz i znowu, dla hecy. Komendant sypia w swoim pokoiku oddzielnym, za ścianką z dykty. Na noc wychowawcy zamykają pawilony, idą do swoich mieszkań za mur. Chłopcy zostają sami. Po terenie spacerują tylko „nocki” — strażnicy, którzy pilnują całego obejścia.

Za murem jeżdżą chłopskie wozy. Czasem przemknie samochód. Ale granica rzeczywistości studzienskiej zaczyna się wcześniej na terenie zakładu, w małym wiejskim sklepiku. Chłop



Z WIZYTA



W bibliotece Zakładu Anatomii Patologicznej

— po to, aby student mógł na gorąco kojarzyć spostrzeżenia z prosektorium z obserwacją na ekranie rentgenowskim i na człowieku żywym. W ten sposób student zdobywa równocześnie podstawy teoretyczne i podstawy badania klinicznego.

— Panie Dziekanie, mówi się o tym, że bardzo często absolwent AM nie interesuje się niczym poza swoim zawodem. Czy jako główną przyczynę tego zjawiska uznaje Pan Dziekan brak czasu w czasie studiów?

— Nie tylko. Zawinił tu również program nauczania, w ramach którego nie ma wykładów z przedmiotów humanistycznych. W okresie międzywojennym wykładano na AM logikę, psychologię i historię medycyny. Obecnie Polskie Towarzystwo Historii Medycyny przestało memoriał do Ministerstwa Zdrowia, w którym domaga się wprowadzenia wykładów i egzaminów z historii medycyny.

— W sąsiednich gablotkach — mówi prof. Wasilewski — widzimy układy krwionośne innych narządów, pozbawionych komórek mięsistych przy pomocy środków chemicznych.

— Nasz Zakład zajmuje się przede wszystkim badaniem układu krwionośnego i chłonnego — stwierdza prof. Wasilewski. — Udało nam się opracować nową metodę badań, której wyniki tu właśnie widzimy. Polega ona na zastosowaniu do wstrzykiwań tworzyw sztucznych. Wprowadza się je do naczyń i dzięki temu możliwe jest orientowanie się w ich skomplikowanym systemie bez pomocy mikroskopu. Badanie mikroskopowe nie pozwalało na ograniczenie całości układu naczyniowego w narzędzie, przebiegu naczyń, ich połączeń i topografii i musiało się ograniczać do drobnych odcińków. Nasza metoda może mieć duże zastosowanie w medycynie praktycznej, przede wszystkim zaś w chirurgii. Chirurgowi łatwiej usunąć część narządu podczas zabiegu operacyjnego jeżeli uświadomiamy sobie jakie naczynia należy oszczędzić.

Nowa metoda Zakładu była referowana na posiedzeniu Towarzystwa Anatomicznego w Paryżu. Tematem innych badań w Zakładzie są naczynia chłonne serca i jelit oraz układ krwionośny mózgu. Do najbardziej wartościowych współpracowników prof. Wasilewskiego należą: dr B. Goetzen, dr B. Gołąb, dr Krystyna Janiolkowska.

— A jakie zagadnienia interesują obecnie Pana Profesora?

— Zajmuję się badaniem

układu chłonnego dróg oddechowych i pokarmowych. Badania tego rodzaju prowadzi obecnie tylko Zakład łódzki. Oczywiście trzeba pamiętać również o tym, że Zakład obok celu naukowego ma również zadania dydaktyczne. Do najważniejszych z nich należy danie studentom medycyny podstaw do dalszych studiów, udzielenie im jak najdokładniejszych wiadomości z zakresu budowy ustroju ludzkiego, topografii i ogólnej czynności narządów.

Czynności lekarza mające na celu ratowanie zdrowia a nawet życia chorego zależą również od wyników badań wykonywanych w różnych pracowniach naukowych. Ale właśnie o tych badaniach społeczeństwo wie bardzo mało. Chirurg podczas operacji stwierdza np. obecność nowotworu. Nie jest jednak pewien, czy to jest nowotwór złośliwy. Pobiera wtedy wycinek z chorego narządu i przekazuje do badania. W ciągu kilku minut uzyskuje odpowiedź, z jaką zmianą chorobową ma do czynienia i wie, czy ma wykonać radykalny zabieg, czy też ograniczyć się do miejscowego usunięcia zmienionej chorobowo tkanki. Badania tego rodzaju wykazuje zakład Anatomii Patologicznej (kier. prof. dr Aleksander Pruszczyński).

— Anatomia patologiczna — mówi prof. Pruszczyński — bada makroskopowe i mikroskopowe zmiany w narządach podczas przebiegu różnych chorób, przy czym oddaje koleśalne usługi chorym, bo na podstawie badań mikroskopowych wycinków wziętych od chorych

edycynę współczesną jako całość wiedzy medycznej i zakres działalności lekarskiej porównać można do koła na krańcach którego powstają coraz liczniejsze wypukłości. Te wypukłości — to poszczególne specjalności, posuwające ciągle naprzód swoje badania. Rozszerzają one owo koło, ale przez to każda z tych specjalności staje się coraz mniejszą częścią całości — takiego porównania użył mówiąc o dokonywającej się zmianie charakteru medycyny rektor Łódzkiej Akademii Medycznej — prof. dr Marian Stefanowski.



Profesor Stefanowski wygłosił przemówienie w Academie Nationale de Medicine w Paryżu dnia 20. X. 1959 r. Mówił o kształtowaniu się nowego typu lekarza i konieczności przystosowania systemu nauczania do zmian wynikających z postępu wiedzy medycznej. Rozszerza się zakres działalności lekarskiej, a społeczne przemiany warunkują konieczność ogarnięcia opieką lekarską całego narodu.

Rozwój cywilizacji doprowadza do powstawania coraz to nowych, głębiej sięgających uzależnień całych grup ludzkich od środowiska społeczno-gospodarczego. Wymaga to rozpatrywania zjawisk z uwzględnieniem tych wzajemnych zależności. W dziedzinie medycyny oznacza to z jednej strony coraz większy rozwój poszczególnych specjalizacji jak i konieczność wzajemnego ich powiązania co powinno znaleźć swój oddźwięk również i w nauczaniu medycyny.

Rozmawiamy z dziekanem Wydziału Lekarskiego AM prof. dr Tadeuszem Wasilewskim. Mówimy o problemach Wydziału.

— Panie Dziekanie, jak ocenia Pan przygotowanie absolwentów AM do wykonywania zawodu lekarskiego?

— Staramy się dać jak najlepsze przygotowanie zawodowe naszym studentom. Wprowadzenie stażu przeddyplomowego, a szczególnie wprowadzenie od 1. X. 59 r. stażu podyplomowego ogromnie zwiększa możliwość wykształcenia praktycznego absolwentów i pozbawia ich lęku przed udaniem się w teren. Przed wojną studia medyczne trwały 5 lat i trzy miesiące. Obecnie właściwe studia trwają 5 lat, nie licząc 10-miesięcznego stażu przeddyplomowego, a więc w ciągu krótszego czasu student musi opanować szerszy



niż dawniej zakres wiedzy, gdyż medycyna nie stoi przecież w miejscu. Od marca br. przewidziano również wprowadzenie obowiązkowego kształcenia ideologicznego. Ilość studentów jest większa niż przed wojną. A więc przy ogromnym wzroście wymogów kształcenie odbywa się prawie na tych samych warunkach.

— A jak obecnie wygląda sprawa odsiewu w toku studiów?

— Łódź ma pod tym

względem najlepszą statystykę w kraju. Odsiew w stosunku do innych AM jest najmniejszy. Ministerstwo wydało ostatnio zarządzenie, zabraniające zatrudniania w charakterze p.o. lekarzy osób, które nie zdały egzaminów końcowych. Jest to dodatkowy doping dla absolwentów.

— Co Pan Dziekan uważa za główne przyczyny odpadania w toku studiów?

— Niski poziom nauczania w szkołach średnich, wadliwy system egzaminów wstępnych, które nie są sprawdzianem przygotowania do studiów, nieumiejętność uczenia się.

— Mówi się ostatnio o zmianie systemu studiów. Czy sądzi Pan Dziekan, że taka reforma miałaby dodatni wpływ na wyniki nauczania?

— Oczywiście. Ścisłe odgraniczenie poszczególnych dyscyplin i wykładanie ich w różnych okresach czasu na poszczególnych latach studiów powoduje do pewnego stopnia wrotny alfabetizm. Np. student na ćwiczeniach z interny lub chirurgii często nie pamięta już anatomii i fizjologii narządów. Należałoby dążyć do scalania wykładów i ćwiczeń osobnych dyscyplin, do ich powiązania w tym sensie, że omawiając np. wątrobę powinno się powiedzieć studentowi wszystko o prawidłowej budowie anatomicznej i histologicznej tego narządu, o jej czynności prawidłowej i patologicznej i o klinice.

— Czy ta zmiana jest w stadium realizacji?

— Na razie staramy się ją wprowadzać w naszym zakresie (tzn. anatomii prawidłowej). Temu właśnie służą ćwiczenia w Zakładzie i ćwiczenia sekcyjne w prosektorium zsynchronizowane z wykładami. Obok ćwiczeń sekcyjnych na zwłokach w prosektorium odbywają się jednocześnie ćwiczenia z anatomii rentgenowskiej i z anatomii człowieka żywego



Ćwiczenia ze studentami

SALVATORE QUASIMODO

Jeszcze raz piekło

Nie przychodźcie nam wmywiać tej nocy, rycząc w megafon, tej nocy pomarańcz kwitnących, narodzin ledwo poczętej miłości, że wódór ma ziemię wypalać w imieniu prawa. Zwierzęta, lasy w Arce Zagłady topnieją, ogień przywiera do konskich łbów, ludzkich żreń. A potem nam, już umarłym, umarli podyktują nowe tablice przykazań, nowe — w starym narzeczu — znaki: profile noży. Ktoś w popielisku, bełkocąc, od nowa tożsamość przeznaczeń odkryje — nie albo wszystko: potoków plusk, trzepot światła. Bo przecież nie jest nadzieja, to, co wy, martwi, wróźcie naszej śmierci w wykrótach wrzącego błota,

tu w piekle,
(Ziemią niezrównaną, 1958).



Tłumaczył: HENRYK ANDERS

Martwe gitary

Jest moja ziemia rzekami zwrócona ku morzu, a nie ma nigdzie miejsca z głosem tak ospałym, jak to, kiedy stopy się moje błakają wśród ociekającej od ślimaków trzciny. Pewno, już jesień: pod strzępami wiatru martwe gitary wzbierają strunami ku czarnym ustom, jakaś dłoń porusza palcami ognia.

Przed lustrem księżycza cheszą włosy dziewczęta o piersiach z pomarańcz. Kto płacze? Kto w powietrzu rudym smaga tu konie?

Za łańcuchem trawy zostaniemy na brzegu, nawet ty, miłości, nie przenoś mnie przed owe lustro nieskończone, w które nie śmieją wejrzeć rozśpiewanej chłopcy, ni drzewa najwyższe, ni wody. Kto płacze? Wierz mi, nie ja. Przepliwają rzeki zgorzkniałe, wychłostane batem, szerniałe konie, błyskawice batem, Nie ja, moje plemię posiada sztyfety, które spalają księżyc i rany, co pałą.

(Zieleń fałszywa i prawdziwa, 1958).

ustala rodzaj choroby i wskazuje lekarzowi właściwy kierunek leczenia. Prace Zakładu łódzkiego związane są ze specyfiką terenu (przemysł wiókienniczy, częściowo chemiczny) a więc dotyczą one zmian dokonujących się w ustroju pod wpływem ciał trujących, a między innymi różnych pyłów. Badania dotyczą zatem chorób zawodowych i zatrucia przemysłowych. Wiele uwagi poświęca się też naciśnieniu, cukrzycy, gruźlicy, nowotworom, patomorfologii wieku dziecięcego. Niektóre z prac Zakładu zyskały uznanie za granicą, a nazwiska ich autorów wymieniane są w zagranicznej prasie.

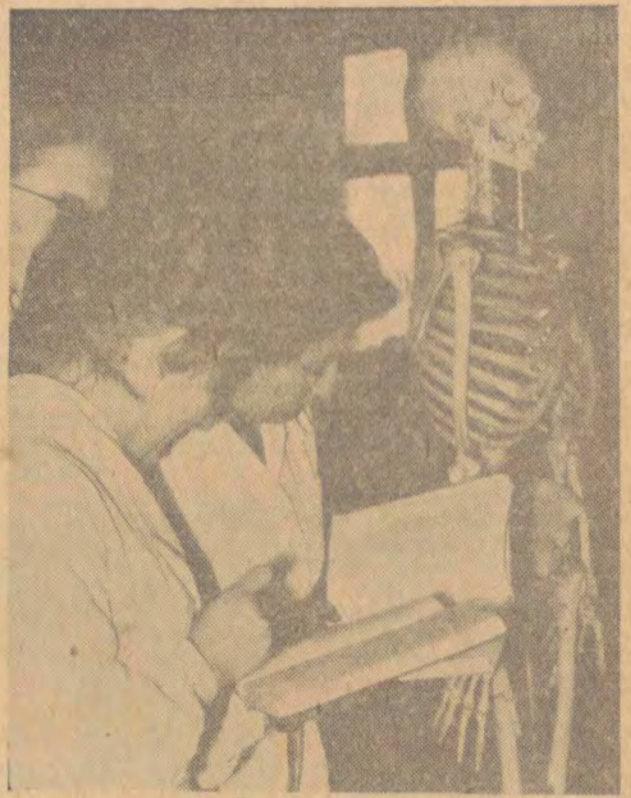
Prof. Pruszczyński zajmuje się obecnie badaniem zmian w naczyniach i tkance okołonaczyniowej. Bardzo wartościowymi pracownikami Zakładu są: dr dr Gluszczyński, Kozłowski, Kuratowski, Małyk, Torzecki, Wojacyńska, Woźniak.

Należą oni do starszego pokolenia badaczy. Młoda generacja zaczyna się dopiero wdrażać do pracy. Dr Mioduszevska w ubiegłym roku była w Stanach Zjednoczonych jako stypendystka fundacji Rockefellera. W bieżącym roku przebywa w Londynie na stypendium tej samej fundacji dr Szendziowski. Jest to sukces tym większy że przedstawiciele tej fundacji sami typują kandydatów. Jeden z pracowników Zakładu, dr Torzecki, reprezentował polską anatomię patologiczną w szpitalu w Korei i został odznaczony orderem przez rząd koreański. Z Zakładu wyszło od r. 1947 — 150 prac naukowych. Na przykładzie Zakładu Anatomii Patologicznej widać, że często lekarze-naukowcy pracują bez rozgłosu i reklamy, oddają ogromne usługi chorym, bogacą naukę polską i przyczyniają się do korpowszczenia jej osiągnięć za granicą.

Istnieją płaszczyzny, na których medycyna spotyka się z innymi dziedzinami wiedzy. W Zakładzie Medycyny Sądowej (kier. prof. dr Puchowski) książka ciągle potrzebna jest Kodeks Karny. Wszyscy wiedzą o tym, że w Zakładzie przeprowadza się sekcja, rozstrzyga sprawy o posmak często sensacyjnym. Zakres pracy Zakładu jest jednak bardzo szeroki. Informacji na ten temat udziela nam adiunkt Zakładu, dr Zygmunt Fiedorczuk. Zakład Medycyny Sądowej na pierwszym miejscu stawia prace naukowe i dydaktyczne, wykłady i zajęcia dla 5 roku AM i WAM, wykłady dla Oddziału Stomatologicznego i wykłady dla drugiego roku prawa z zakresu medycyny sądowej, wykłady w Prokuraturze dla województwa i w Prokuraturze dla m. Łodzi, wykłady w TWP dla leka-

tylko 10 zakładów medycyny sądowej.

Studenci raczej niechętnie wybierają tę specjalizację, często po krótkim okresie pracy w Zakładzie, zmieniają kierunek zainteresowań. Są, oczywiście, również tacy, którzy zdecydowani są tu pozostać. Przyczyną takiej sytuacji jest to, że praca nie pozbawiona jest wielu trudności. Często pracownicy Zakładu muszą wyjeżdżać do odległych miejscowości, nawet poza granice województwa na miejsce przestępstwa. Zakład jest bardzo skromnie wyposażony i ma trudności lokalowe. Zadawalający jest jedynie stan księgozbioru zakupionego z opłat za ekspertyzy sądowe. Mimo tych wszystkich trudności Zakład wykonuje prace na wysokim poziomie. Odbyma się tu szkolenie pracowników medycyny sądowej z innych



Muzeum Zakładu Anat. Patologicznej

W AKADEMII

O NEUROLOGII I HUMANISTYCE rozmawialiśmy z najwybitniejszym przedstawicielem łódzkiej neurologii, prof. dr Eugeniuszem Hermanem. Prof. Herman jest autorem około stu prac naukowych, drukowanych w kraju i za granicą.

— Jakim zagadnieniem z dziedziny neurologii poświęcił Pan Profesor najwięcej uwagi?

— Badaniem objawy chorobowe o znaczeniu diagnostycznym. Udało mi się wykryć kilka nowych objawów. Jednym z nich jest tzw. toniczny odruch podszewowy, wskazujący neurologowi na umiejscowienie nowotworów lub innych zmian chorobowych w płatach czołowych. Inny objaw oponowy, tzw. karkowo-paluchowy wskazuje na istnienie grzybiczego zapalenia opon mózgowych.

— Czy prace Pana Profesora z tej dziedziny wywołały odzewy za granicą?

— Praca moja „O odruchu podszewowym tonicznym i jego znaczeniu lokalizacyjnym” została wydrukowana w „Neurological Problems in the world in 1953” w Nowym Jorku. W r. 1956, amerykański podręcznik dla neurologów cytował tę pracę.

— Znanie są kontakty Pana Profesora z zachodnioeuropejskim światem medycznym. Jaki miały one charakter?

— W 1955 r. zapraszano mnie na gościnne wykłady. W r. 1947 do Nowego Jorku (Szkoła Medyczna w Uniwersytecie Cornell), w r. 1955 do Wiednia, w r. 1956 i 57 do Londynu, a w 58 r. do Zurychu i do Barcelony, gdzie miałem jeden wykład w szpitalu, a drugi w Królewskiej Akademii Nauk.

— Trudno mi oczywiście pytać o inne problemy medyczne, interesujące Pana Profesora i tematy prac. Zresztą trudno byłoby je wyjaśnić laikowi. Ale może jest wśród nich taka, której Pan Profesor przypisuje szczególne znaczenie?

— Owszem, ale nie jest to praca o charakterze czysto medycznym. Mam na myśli zarys historii neurologii polskiej pt. „Neurologia polska”. Jest to pierwsza praca tego rodzaju. Staralem się w miarę możliwości zapisać całą historię naszej neurologii, na ogół nie docenianych. Zresztą ta książka ma również charakter wspomnień. Wielu spośród lekarzy, o których piszę, znam osobiście. Wkrótce po wydaniu tej pracy Światowa Federacja Neurologów zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie artykułu o neurologii polskiej w piśmie Federacji. Prócz tego interesują mnie zagadnienia z dziedziny społeczno-lekarskiej jak np. wirusowe infekcje układu nerwowego.

— Jak wynika z pozamedycznych walorów pracy o neurologach polskich, nie są obecni Panu Profesorowi problemy o charakterze humanistycznym?

— Tak, zagadnienia humanistyczne zawsze mnie interesowały. Z niechęcią powitałem oddzielenie Akademii Medycznej od Uniwersytetu. Kontakt medycyny z humanistyką powinien zostać zachowany. Medycyna nie powinna być rzemiosłem.

rzy o odpowiedzialności karnej lekarza, prelekcje na temat alkoholizmu i szkodliwości alkoholu dla ustroju. Głównym obiektem zainteresowania kierownika Zakładu prof. dr Puchowskiego i pracowników naukowych jest sprawa działania alkoholu na ustrój ludzki. Przy każdej sekcji przeprowadza się badanie krwi na zawartość alkoholu. Badanie takie wykonuje się również po każdym wypadku. Próbek krwi kierowców dostarcza Inspektorat Kontroli Drogowej. W Zakładzie wykonano już 37.614 takich analiz (najwięcej w Polsce).



województw i innych Pracowników służby zdrowia.

MEDYCYNA CORAZ WIĘCEJ UWAGI POWIĘKA ZWALCZANIU CHOROBY SPOŁECZNYCH.

— Cukrzyca jest chorobą społeczną — mówi prof. dr Józef Wacław Grott, laureat Nagrody m. Łodzi na r. 1959, kier. I Kliniki Chorób Wewnętrznych AM i II Kliniki Chorób Wewnętrznych AM. — Cukrzyca wysuwa się obecnie na trzecie miejsce po chorobach serca

MEDYCZYNEJ

Oprócz tego przeprowadza się sekcje zwłok, bada osoby poszkodowane (rocznie ok. 2 tys.), bada się osoby żywe na polecenie sądu (np. w celu wydania orzeczenia, czy mogą odbywać karę więzienia), przeprowadza się badanie krwi w sprawach alimentacyjnych i na zawartość tlenu węgla.

Zakład wydaje również opinie na podstawie akt sprawy. Wszyscy pracownicy Zakładu są biegłymi sędziami, często biorą udział w ogólnych miejscach przestępstwa.

W województwie łódzkim odczuwa się brak specjalistów w zakresie medycyny sądowej. W innych województwach zresztą nie jest lepiej. W całym kraju jest

i naczyń krwionośnych oraz nowotworach. Około 1% naszego społeczeństwa to chorzy na cukrzycę, około 1% choruje na nią nie wiedząc o tym, a dwa razy tyle (tzn. dalsze 2% to ludzie zagrożeni cukrzycą. A więc około 4% ogółu ludności wymaga bądź to leczenia, bądź też wykrycia utajonej cukrzycy, albo też wykrycia zagrożenia i zapobiegania chorobie. Cukrzyca jest chorobą, wymagającą leczenia długofalowego, trwającego często przez całe życie. Podstawą leczenia jest zachowywanie diety oraz wstrzykiwanie insuliny. W im

wczesniejszym stadium wykryje się cukrzycę, tym łatwiej jest ją leczyć. Cukrzyca nie leczona należałaby do poważnych chorób, w której czasie upośledza stan zdrowia chorego i zmniejsza zdolność do pracy. Gdy to nastąpi chory dotychczas samowystarczalny, staje się ciężarem dla rodziny i społeczeństwa. Prawidłowe leczenie natomiast diety i insuliny zapobiega tej katastrofie.

— Dlatego w swojej 38-letniej pracy zawodowej zwróciłem szczególną uwagę na opracowywanie sposobu poznawania cukrzycy oraz na uproszczenie i udostępnienie leczenia. Statystyka wykazuje, że około 80% chorych, to ludzie, którzy ukończyli 40 rok życia. Na tę grupę ludzi zwróciłem największą uwagę.

— W wyniku przeszło 38-letniej pracy udało mi się — stwierdza prof. Grott — opracować charakterystyczny zespół objawów umożli-

Profesora nie koncentrowały się wyłącznie na problemach cukrzycy, ale dotyczyły również innych zagadnień medycznych.

— Opracowałem metodę oznaczania kwasu szczawowego we krwi dla potrzeb leczenia, diagnostyki skrycie przebiegających zapalen trzustki, czynnościową metodę badania zaburzeń krzepnięcia krwi oraz proponowałem pewne ulepszenia w leczeniu niektórych chorób pasożytniczych przewodu pokarmowego.

— Jaka jest ogólna flość prac Pana Profesora?

— 130. Ważniejsze prace drukowane są jednocześnie w językach obcych. Dzięki temu przeszły one do zachodnioeuropejskiej literatury medycznej.

— Nie jest to zapewne jedyna forma współpracy Pana Profesora z międzynarodowym światem medycznym?

— Między innymi utrzymywałem i utrzymuję stałe kontakty z wielo ośrodkami naukowymi prawie od 30 lat (prof. prof. Josslyn (Boston), Lawrence (Londyn), Parkinson (Londyn), Rothe (Paryż), Lanoche (Paryż), Sergend (Paryż), Kotsch (Grelsfeld), Berg (Hamburg), Bertran (Hamburg), Mohnik (Berlin), Herfort (Praga), Barterziel (Bruksela), Hoel (Louvin). Jestem członkiem korespondentem Czeskiego Towarzystwa Gastroenterologicznego (1949), członkiem honorowym Belgijskiego Towarzystwa Gastroenterologicznego oraz Czeskie-

go Towarzystwa Lekarskiego.

W zakończeniu podkreślić muszę, że na osiągnięcia mojej pracy w dużej mierze wpłynęło objęcie Katedry Chorób Wewnętrznych AM w Łodzi, praca całego zespołu lekarskiego, poparcie Akademii Medycznej oraz życzliwy stosunek władz m. Łodzi.

Do najbardziej znanych i cenionych placówek AM należy Klinika Chorób Ocu (kier. prof. dr Janusz Sobański), której osiągnięcia w dziedzinie wczesnego rozpoznawania jaskry jako najczęstszej przyczyny ślepoty i wyników leczenia zwała przewyższają osiągnięcia podobnych klinik w Europie zachodniej. Klinika posiada pracownię protez ocznych, rurek do rurokowania dróg łzowych, fotograficzną i opłyczną.

Przychodnie przykliniczne zajmują się leczeniem zębów i niedowidzeń, leczeniem zaników nerwu wzrokowego, jaskry i reumatycznych schorzeń oczu.

Personel naukowy Kliniki Chorób Ocu ogłosił drukiem 93 prace, w tym 3 w językach obcych.

Niesposób przedstawić w jednym artykule prac wszystkich placówek naukowych AM i wybitnych pracowników naukowych. Trzeba z konieczności ograniczyć się do wycinków.

Pracownicy AM ogłosili po polsku i w językach obcych 2540 prac naukowych. AM posiada 48 katedr i 56 samodzielnych pracowników naukowych. W ciągu najbliższych pięciu lat przewiduje się kontynuowanie i rozszerzenie zakresu prac badawczych, a szczególnie rozwój naukowy ośrodka kardiologicznego i kardiologicznego.

W zakresie pracy dydaktycznej — dąży się do przeprowadzenia w ciągu 2-3 lat reformy programowej studiów na Wydziale Lekarskim, zmierzającej do przystosowania nauczania medycyny, do postępu wiedzy medycznej, rozszerzonego zasięgu działania zawodu lekarskiego oraz do wzmagającego się społecznego znaczenia i zadań służby zdrowia.

Opr. E. W.
Zdjęcia: Z. WALTER



Prosektorium

Za kilka dni rozpocznie się niezwykły proces. Przed sądem stanie troje dzieci lub mówiąc językiem prawa — osoby oskarżone o zabójstwo. Pojęcie dziecka i pojęcie mordercy można w tym wypadku używać zamiennie i czynić to z pełną świadomością. Zestawienie tych dwóch słów oddaje sens sprawy — i to jest właśnie najbardziej gorzkie. Dwoch chłopców, którzy jeszcze nie ukończyli 18 lat i szesnastoletnia dziewczyna. Ich rówieśnicy — nasze dzieci — chodzą do szkoły, martwią się zimi stopniami, cieszą się z wolnego od nauki dnia. Nasze dzieci są zawsze grzeczne i dobre, i zdolne. A potem te nasze grzeczne i dobre dzieci mordują kolegę według najlepszych oświęcimskich wzorów, a oficerowi śledczemu, który prowadzi sprawę, włosy stają dęba z przerażenia, gdy słyszy w jaki sposób to się odbyło,

Spotykaliśmy ich na ulicy, waleśających się bez celu, zni kąd donikąd, stojących godzinami przed kinem „Włóknarz“, czy wyglądających przez szyby kawiarni „Liliana“. Rycieli z radości na filmie — „Winchester 73“ i w najbliższej bramie prosto z butelki piła najtańsze wino. Prowadzili oglupiające rozmowy, nauczyli się życia w jego najbrudniejszej postaci. Na strychu, w bramie albo na kupie kamieni znajdowali chętne dziewczyny, które prawo umownie nazywamy nieletnimi. Nieletnie wiekiem, ale stare doświadczeniem. W tym środowisku obowiązują system olimpijski — każdy z każdym.

Co my o nich wiemy? Oburzamy się na ich postępowanie, bo zakłócają nasze spokojne, mieszczańskie życie, bo obalają nasze ustalone wyobrażenia porządku iładu bo służą złym przykładem naszym dzieciom.

Mamy Prawo, możemy domagać się dla nich wysokich kar. Ale zanim to uczynimy — zastanówmy się chwilę — jakie były ich ścieżki, którymi doszli do ławy oskarżonych?

Zdzisław Wesoly — rocznik 1942.

Włodzimirz Pablich — rocznik 1942 — „Gutek“.

Wienieczysława Malicka — rocznik 1943 — „Wiolka“ albo „Violetta“.

Zdzisław Wesoly w końcu 1958 roku miał sprawę w Sądzie dla Nieletnich o kradzież lyżek z Baru Mlecznego. Wyrok — tytułem środka zapobiegawczego — „zastanowić dozór kuratora“. Zalecenie — „umieścić nietiego w szkole i dać mu pracę, niech się nauczy zawodu“.

5. II. 59 r. ojciec składa meldunek w Sądzie dla Nieletnich — „syn ukradł zegarek wartości 900 złotych. Wczoraj pobił matkę. Okłamywał nas, że pracuje w Rzeźni, a był tam tylko jeden raz. Jest kompletnie zdemoralizowany i wnoszę o zamknięcie go w zakładzie poprawczym“.

Wyrok — pobyt w Domu Poprawczym. Zawieszony na dwa lata.

Sprawozdanie kuratora z III. 59 r.

„Nieletni otrzymał pracę w PKS. Był bardzo zadowolony, ale jak się okazało, pięknie udawał. Pracował tylko dziesięć dni, z tego dwa opuścił bez usprawiedliwienia, a następnie uciekł z domu. W szkole był na lekcjach przez jeden dzień i więcej już się nie pokazał“. Dalej kurator stwierdza: „Wychowanek od dłuższego czasu urządzał u nieletniej Violety libacje z winem, koleżankami i tajaćwem. Często nie wracał na noc do domu. Nieletni lekceważy rodziców, postępuje jał chce“.

Kurator, ze względu na krótki okres czasu, nie zdążył opanować sytuacji.

Po trzymiesięcznej nieobecności Wesoly wraca do domu. Cały ten czas spędził na autostopie.

Uciekał z domu, a matka po kryjomu wynosiła mu pieniądze i jedzenie. Chłopak miał zbyt lekkie życie, Rodzice wiedzieli, co to bieda, chcieli więc uchronić od niej swą pociechę. Stwarzano mu więc ciepłarniane warunki życia — i w rezultacie okazuje się, że wyrządza się dziecku krzywdę. A więc jest to przegięcie, zębne w skutkach. Zawsze tak bywa z każdą przesadą.

A teraz zanotujmy sytuację całkowicie odwrotną. Brak tego, co potocznie nazywamy atmosferą ogniska domowego. Dziecko potrzebuje miłości — a zamiast



atrze, chodził czasem do kina — „W samo południe“, „Winchester 73“. Chodził z kolegami na wargi, bo go namówili, uciekał z domu, bo go namówili, zabił, bo go namówili.

W jednej ponurej izbie, na dwóch łóżkach, gnieździ się czteroosobowa rodzina. Włodek włożył się całymi dniami po mieście, zbierał złom i sprzedawał na wódkę. Kolegował ze Zdzisławem Wesolim.

W marcu 59 r. pijany Pablich urządził awanturę przed „Liliana“. Czynniami znieważył interweniujących milicjantów. Sąd dla Nieletnich postanawia osadzić go w Schronisku, poddać tam obserwacji aby wybrać najlepszy środek, pozwalający na przebiegu procesu wykołowania się chłopca. Opinia ze Schroniska była dosyć pozytywna, więc Sąd zdecydował, że należy oddać go rodzicom i ustalić dozór kuratora. Wyrok — Dom Poprawczy — zawieszono na dwa lata.

Po niedługim czasie ucieka z domu na żniwa do PGR. Po dwóch tygodniach wraca, bo wyżywienie jest złe, wynagrodzenie niskie, a praca ciężka. Kurator znajduje mu pracę gońca, z pensją 500 zł. Pracuje 2 tygodnie. Za paserstwo — przestępstwo z przeszłości — odpowiada przed Sądem Powiatowym. Adwokat uzyskuje dla niego wyrok w zawieszaniu.

Pablich zaciąga się do Hufców Pracy ZMS. W październiku 59 r. wraca do Łodzi. Wałęsa się po mieście, nie wraca na noc do domu. Przebywa w podejrzanych środowiskach, nie podporządkowuje się poleceniom kuratora. Matka jest bezsilna. Kurator uważa, że w tych warunkach odwiezienie wyroku jest celowe i konieczne.

W listopadzie nietelni pisze prośbę do Sądu o utrzymanie zawieszania, obiecuje poprawę. Idzie do pracy, uczy się zawodu montera.

„Wienieczysława Malicka, Ordynarna i okryta. W stosunku do matki używa wulgarnych słów. Matka jest postrachem całego domu. Ciągłe spory wynikają na tle pralni, która znajduje się w sionce Malickich. Od 14 lat pralnia była własnością lokatorów, ale teraz, od chwili wprowadzenia się Malickiej przeszła na jej własność. Violetta, zwana także Wiolką, od dziesiątego roku życia sprawiała trudności wychowawcze. Leczyła się w Warszawie. W VIII klasie trudności wystąpiły ponownie. Wiolka rzuciła naukę, otacza się kolegami i koleżankami, co do których można mieć zastrzeżenia natury moralnej. Rodzice przeprowadzili się z ulicy Południowej na Rudę, ale Wiolka nadal utrzymuje kontakty z chłopcami spod kina „Włóknarz“. Do domu wraca późno, pijana, urządza rodzicom awantury. W ojca rzucała kałamarzem, w brata butelką.

W grudniu 59 r. matka wniosła do Sądu dla Nieletnich prośbę o umieszczenie córki w Zakładzie Poprawczym (sprawa o pobicie oj-

ca). Ponieważ wszczęcie postępowania w tej sprawie zostało uwarunkowane opłatą 200 zł. — matka, nie mając pieniędzy, rzekła się oskarżenia.

W dwa tygodnie później Violetta została zatrzymana pod zarzutem udziału w morderstwie.

Wiolka samokrytycznie stwierdza, że można mieć wiele zastrzeżeń co do jej zachowania się, ale zaniebania w wychowaniu dopuścił się rodzice. Uważa, że matka zawsze ją nienawidziła i nigdy nie zrobiła dla niej nic dobrego. Zawsze chciała się jej pozbyć. Violetta przyznaje, że ma o sobie wielkie wyobrażenie, że w każdym środowisku czuła się wyżej od reszty. Ma trochę zdolności rysunkowych, więc chciałaby zostać artystką — malarzem.

I oto już cała trójka bohaterów tej makabrycznej historii.

Zastanówmy się teraz wspólnie nad pałoma problemami.

Musimy z przykrością stwierdzić że w tej całej sprawie brak czegoś, co można by nazwać autorytetem wychowawczym. Nie jest nim ani szkoła, ani dom rodzinny, ani opieka kuratora, ani

ktedys przyjdź na nasze miejsce i uczciwie pracować. Jakie były motywy mordu — nikt nie wie i przypuszczam, że i Sąd nie potrafi tego wyjaśnić do końca na rozprawie. Oskarżeni próbują przedstawić tę sprawę jako zemstę za gwałt, którego rzekomo dopuścił się Rzepa na Wiolecę. Ale to podobno było przed rokjem. Inna przyczyna — rzekomo Rzepa miał uderzyć Wiołkę w twarz. To było w dniu dokonania przestępstwa, i dlatego obrażona Violetta namówiła Wesolego i Pablicha żeby zabili Rzepę. A więc rachunek prosty — za uderzenie w twarz trzeba zapłacić życiem. Stado krwiożerczych wilków to baranki w porównaniu z Wiołką.

Spytano Wesolego: — Czy zdawałeś sobie sprawę z tego, że gdybyś ty, uchodzący za jej narzeczonego, pokłócił się i uderzył ją w twarz — może to ty leżałbyś dzisiaj koło tego mostku? — Wesoly zastanowił się i pokręcił głową: — O tym nie pomyślałem.

Okoliczności łagodzące? — Nie ma żadnych. Chyba tylko te ich siedemnaście lat. Ale jak zakwalifikować fakt, że sami nie potrafili, a nikt nie nauczył ich szukać zainteresowań nikt nie pokazał im piękniejszej strony życia? Czy to jest tylko wina rodziców? Pomyślmy o tym teraz, aby kiedyś cudze kłopoty nie stały się naszymi własnymi kłopotami.

Wiolka powiedziała im, że trzeba zabić Rzepę, a oni zgodzili się. Może chcieli jej udowodnić, że są mężczyznanami i nie boją się?...

Od ulicy Zachodniej, aż na



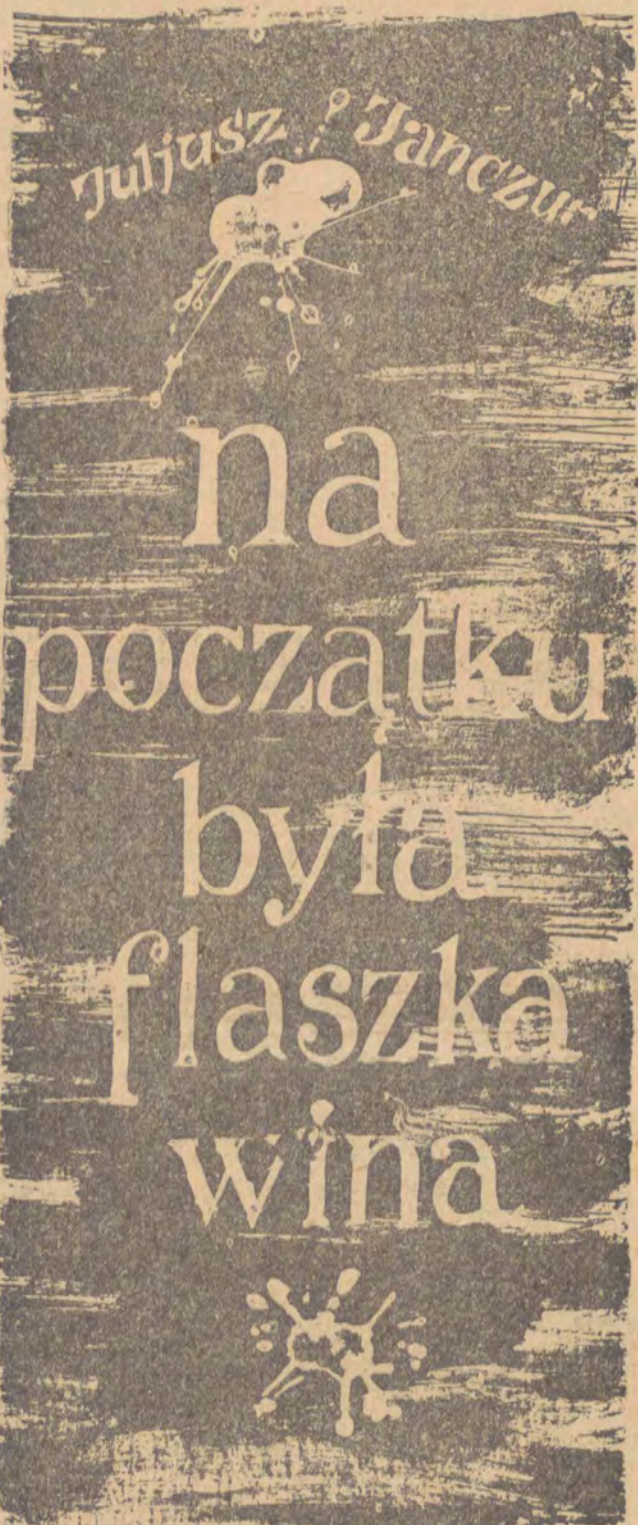
groźbą Zakładu Poprawczego. Ale zarzut braku autorytetu władzy rozciąga się i na nas.

Mówiąc szczerze, w sprawach wykolejania się młodzieży jesteśmy często bezsilni. Możemy karać, ale dopiero po popełnieniu przestępstwa, z oczywistym założeniem, że kara będzie minimalnym środkiem zapobiegawczym. Zawieszanie wyroku staje się bronią obosieczną i zwraca się przeciwko nam — bo do umysłu młodocianego przestępcy nie trafia ani prośba, ani groźba, ani dobre przykłady, ani wskazania moralne. Tak było w tym konkretnym przypadku.

Gdyby ich odesłano do Zakładu — nie popełniliby morderstwa. A nie odesłano ich do Zakładu, bo wierzono, że się poprawią. Dano im szansę, bo mówili, że się CHCA poprawić. Może i naprawdę chcieli? Nikt nie próbował tego zglebić, zadowolono się pozorami. Bo przecież to nie są jedyni nietelni, którzy wymagają opieki. Wierzono im, bo właściwie nie było innego wyjścia. Odesłanie do Domu Poprawczego, to już rzeczywicie ostateczność.

Poświęćmy teraz kilka słów zamordowanemu Rzepie. Trzeba otwarcie powiedzieć, że to był łobuz i chuligan, znany w okolicy kina „Włóknarz“. Lubił popić, awanturował się, zaczępnął ludzi, urządził bójkę. Miał opinię uwodziciela. Starszy brat przebywa w Domu Poprawczym za kradzież.

Nie patrzmy na tę sprawę jako na osobiste porachunki o dziewczynę między grupą chuliganów. Pamiętajmy o wieku i o tym, że to są ludzie, którzy powinni byli



Kolejne sprawozdanie kuratora, który znów się wystraszył pracą: — „...podczas częstych wizyt u rodziców nigdy nie zastałem podopiecznego w domu. Rodzice twierdzą, że przychodzi do domu pijany, ubliża rodzicom, żąda pieniędzy. Ojciec w tych wypadkach nie ma głosu, matka zawsze staje w obronie syna, nie pozwala go dotknąć“. Wniosek kuratora: „wnoszę prośbę o umieszczenie podopiecznego w Zakładzie Wychowawczym gdyż tylko w ten sposób można uratować go przed stoczeniem się na drogę przestępstwa. Data — 23. IX. 1959 r.“

Nieletniego wezwano do Sądu i zapoznano z opinią kuratora. Wtedy złożył pismną samokrytykę — „...rozumiem, że moje prowadzenie było złe. Przyrzekam, że poprawię się gruntownie... Proszę o ponowne zawieszanie“...

Wesoly miał wszelkie dane aby się uczyć. Nauka w szkole podstawowej szła mu dobrze, warunki materialne rodziców wystarczające. Chłopak inteligentny, ocytany, był w teatrze, lubił filmy. Pociągowała go przygoda. W domu jest telewizor. Gdy go ojciec chciał uderzyć — u-

tego trafia do Domu Dziecka, który, chociażby był najbardziej zbliżony do ideału, nigdy nie zastąpi prawdziwego domu i rodziny. Tak wyglądało dzieciństwo Włodzimirza Pablicha. Matka, robotnica łódzkiej fabryki, oddała go do Domu Dziecka gdzie spędził okres od 5 do 10 roku życia. Później matka wyszła za mąż, ojczym usynowił Włodka i zabrali go do domu. Ale kompleksy niższości i pewnego upośledzenia społecznego — pozostały. Nauka szła ciężko, nikt w domu nie pomagał mu, bo ani matka, ani ojczym „nie mieli“ szkoły. Ojczym jest obecnie na starczej rencie, chory na astmę, rzadko opuszcza łóżko. Matka pracuje w fabryce na zmiany. Chłopak jest dobrze rozwinięty fizycznie, ale umysłowo bardzo słabo. Nie czytuje książek, nie był nigdy w te-



str 8 **odgotosy**

Władysław Rymkiewicz

ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

VIII.

Streszczenie

Akcja „Romansu Królewskiego” rozgrywa się w XVII wieku, w okresie wojny z kozacką. Król Jan Kazimierz, romansujący z piękną podkanclerzynią Radziejowską, dowiaduje się od niej o tajnej wymianie listów między królową Marią Ludwiką a podkanclerzym. Godzące w osobę króla listy zostają przejęte i, po naradzie z magnatami, Jan Kazimierz postanawia odsunąć Radziejowskiego od wpływu na rządy.

ROZDZIAŁ VI

Zamłkły armaty, ustał grzechot rusznic i muskietów, ucichły bębny i kotły. Ciemny żywioł wojny przeczaił się, żeby jutro wybuchnąć na nowo, żeby ogarnąć krwawym szaleństwem, trwogą i męstwem, dziką żądzą wzajemnego mordowania wojowników śpiących w namiotach i szalasach dwóch wrogich obozów nad brzegami Styru. Noc chłodna a parna wisiła ciężko w powietrzu z dusznymi zapachami lata, drzew, krzewów traw łąkowych i czamoziemu w połączeniu ze słodkawą wonią rozkładających się zwłok ludzkich i końskiego ściernia, płynącą z pobojowiska. Drugi dzień bitwy, która zaczęła się pod Beresteczkiem 28 czerwca 1651 roku, zakończył się klęską sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Poległo dwustu znakomitych rycerzy, nieprzyjaciel zajął pozycje wyjściowe, opanował wzgórze, przejścia i przeprawy, odciał łoża, łąki i paszę dla koni.

Trzeciego rozstrzygającego dnia, 30 czerwca, Jan Kazimierz o brzasku zaczął ustawić wojsko w ogromnym szyku według trybów cudziemskich na równinie przed obozem. W centrum, przed głównym korpusem królewskim pod osłoną przedniej straży zajął swe działa generał artylerii pisarz polny Przyjemski.

Z początku nie było widać, Mgła zasłaniała wszystkie.

W południe z białych jak mleko oparów zaczęły wyłaniać się lasy włóczy i kopy, później czuby sztan-darów i buńczuków obu wojsk przygotowanych do bitwy. Wtedy już było wiadomo, że mgła opadnie i że niebawem rozpocznie się bój.

Wtedy też Gabrys Zapartek i kilku innych wdrapało się na dach opuszczonej przez karczmarza i spustoszonej przez żołnierzy karczmy.

Dach trzeszczał niebezpiecznie. Z jednego miejsca posypały się gonty odsłaniając krokwie jak żebra w poszarpanym boku bydłęcia. Gonty zleciały na głowy żołnierzy, którzy zaczęli wrzeszczeć i kląć. — Ej, wy tam, sracze kapucianie! Durne błazny! Gołdupcel! Mgła opadła. Daleko ka-karczma płynęła wśród bagien rzeka Styr, nad którą rozciął się obóz polski w nieobdanych okien plejadach różnokolorowych płócien-nych i skórzanych namiotów, koni, taborów. Po przeciwnej stronie, od wschodu rozciągał się szeroki do pół milii łoża boju, zamknięty od północy bagnistą rzeką

Plaszewką, od południa — czarną ścianą lasów.

Zapartek wyciągnął rękę i widzi powoli, w milczeniu wskazującym palcem zakreślając łuk od południa do północy nad stepami, na których mrowiło się kozactwo i hordy tatarskie, jazda i piechota, czerni i chłopstwo ukraińskie lada jak uzbrojone, Nogajcy obdarci, niemal nadzy i masy Niżowców najeżone pikami. W potokach słonecznego światła skrzyły się ostrożeńciste spisy, polyskiwały miseczkowate helmy doborowych oddziałów chańskich, pałaly czerwienią malinowe chorągwie kozackie.

Trzy razy ich tyle co naszych — powiedział pół-głosem jakiś ciura.

Dziesięć razy tyle — poprawił Zapartek rozmazując na twarzy kurz i pot,

Poznał znaki piechoty niemieckiej pana Krzysztofa Houwalda. Słyszałem, jak pan Butler mówił o pułkowniku Houwaldzie, że maż to wielkiej odwagi od najmłodszych lat do swiego wł. sa.

Ciura przyjrzał się Zapartkowi, który jedną ręką obejmował komin, a drugą wskazywał na piechotę węgierską i polską. — My tutaj — pokazywał autoramenty cudziemskie. — Na przedzie artyleria pana Przyjemskiego. A tam król jego mości! Widzi! Widzi błękitną chorągiew króla jego mości! — oczy Zapartka błysnęły zachwytem. — Opowiadał pan Butler, że król jego mości odrzucił szyk taborowy obronny i zalecił szyk szwedzki, co go sam wypróbował walcząc w armii cesarskiej.

nieprzyjacielskich zagrały trąbki, zawarzały bębny. Na lewym skrzydle ruszyła do ataku jazda księcia Wiśniowieckiego.

— Jarema! — Ochryplym głosem wrzasnął Zapartek. — Pasemka wąsów wzniosły się nad wyszczerzonymi zębami. — Jarema! — pokazywał pędzącego na czele kolumny jeźdźca bez helmu i pancerza, z podniesioną szablą, na białym koniu, pięknego i wzniosłego, jakby na tym koniu miał wlecieć do nieba.

Książę prowadził olbrzymią masę jazdy na tabor kozacki. Lawina jeźdźców pędziła coraz szybciej wzbijając tuman kurzu. Generał Przyjemski wspierał skośnym ogniem dział atak jazdy polskiej na tabor kozacki. Kurz, pył i dym prochowy

Wysięk pamięci zaostrzył rysy twarzy oberztera — Waszmość nie pamięta, jak to było? — Ryłski dopytywał się ciekawie.

Butler przyknął oczy. Pod powiekami zaczęły przeplwać obrazy. Na horyzoncie wzniesły się słupy dymów. Płonęły wieś, dwory, miasteczka, objęte pożarami wzniesionymi dla postrachu ludzkiej przez wroga. Sto tysięcy ordy i cała jazda kozacka (dwieście tysięcy), rozciągnięta na kilkumilowej przestrzeni rozwarłym półkolem przybliżały się jak sierp, żeby zżąć ten wojska polskiego na równinie berestockiej. Zadrzała i stęknęła ciężko ziemia pod kopytami trzystu tysięcy jeźdźców. Zbiorowy przeraźliwy wrzask Allah! Allah! zagrzwał jak uderzenie wichury.

Co waszmość mówi? głos Ryłskiego dobiegał sponad zgiełku orężnej rozprawy.

— Pić.

Zaszło w gardle. Trzeci dzień bitwy. Zar i blask słońca oślepił. Mleje ramię od ciosów spadających przeszywająco do kości. Król objął dowództwo w centrum, Szablą wskazuje cel natarcia. Centrum postępuje niezłomie i w porządku naprzód. Wciąż naprzód! Pułki tatarskie wrzeszczą, hałahują, cofają się i znów atakują. Regiment raz po raz zwraca się z ordą.

Ryłski nachylał się kwartą piwa. — Waszmość jak się czuje?

— Mów waćpan dalej.

— Toż mówię — porucznik piechoty rozłożył bezzadnie ręce. — To nam i teraz przypisać można, co wielu królów i hetmanów po wygranych bitwach doświadczyło, że umiejąc zwyciężyć, zażyć zwycięstwa nie potrafili.

Butler wsparł się na łokciu.

— Krótko mówiąc, gdy waszmość został ranny, wynieśliśmy go ja i Gabrys do lazaretów. Zaczęło się zmierzchać. Tatarzy i Kozacy, rozbici, rzucili się w poploch do ucieczki. Pan chorąży koronny z lekkimi pułkami puścił się w pogoń za chaniem. Na pobojowisku pozostali tylko zabici i ranni. Król i wojsko padło na kolana, zaczęło śpiewać Te Deum. Aż tu zaraz lunął deszcz. Co ja mówię, deszcz? Ulewa. Oberwanie chmury.

— Co dalej? Mów że waćpan, co było dalej?

— Dalej, Kozacy cofnęli się nad rzekę Plesnię między bagniste przeprawy, gdzie założyli tabor, okopali się i postanowili bronić się do upadłego pod dowództwem Dziedziały, zastępującego Chmiela. Może by się i dłużej bronili niż trzy dni, ale ktoś tam rozpuścił pogłoskę o zdradzie, niby że starszyzna z Dziedziałą i Bohunen, wymyka się potajemnie z obozu i zostawia kozactwo na łasce losu. Chryste Panie! — wykrzyknął Ryłski. — Co się tam działo. Jaki poploch wśród czerni! Wszystka szarańcza rzuciła się jak w oblakaniu do ucieczki, tratując się, dusząc i spychając wzajemnie się przy przeprawach, kupami spychali się w błota w trzęsawiska! Za tymi, którzy udało się wydostać z taboru puściło się w pogoń siedem pułków naszej jazdy pod dowództwem pana Czarnieckiego. Cóż to była za rzeź!

Butler osłabły opadł na znak na posłanie. — Mów waćpan dalej — powiedział z zamkniętymi oczami,



Rys. Tadeusz Kaćcietek

Dzień był skwarny, duszny, ślina wysychała w gardle.

Zapartek z powrotem wiodł palcem, teraz — nad wojskiem Rzeczypospolitej. — Tam, na lewym skrzydle pułki kwarciane pana hetmana Kalinowskiego i księcia Jaremy. Tak mnie objaśniał oberzter. We środku król jego mości — zniurcho-niał palec wskazywał dy-wizję królewską uformo-wane w trzech liniach, —

Dziwny wytarł Zapartek czoło zroszone potem i zacerpnął tchu. — A tam, pod lasem, pospolite ruszenie. Komendę sprawuje (mówił pan Ryłski) wojewoda Lanckoroński zamiast hetmana wielkiego Potockiego, który zastąpił.

Grzmot armat zmiotł słowa. Oktawy i moździerz pana Przyjemskiego rzygnęły ogniem. Białe obłoki prochowego dymu zakryły baterię. Daleko w szeregach

zawisły w nieruchomym powietrzu. Na całym froncie oba wojska zaczęły zwolna posuwać się naprzód i zbliżać ku sobie.

Zapartek doczłapał się do dymnika i przelazł na strych. Ciury posuwały się za nim krzycząc coś, słowa mat, w salwach króćcie i muskietów. Zapartek zeszedł pośpiesznie po chwiejnych stopniach i pobiegł wzdłuż traktu za oddalającym się wojskiem. Zdysza-

ROZDZIAŁ VII

Ryłski i Tyzenhauz pochylił się nad rannym.

Żyd, chirurg królewski, odwrócił z głowy oberztera brudny bandaż. Przez czoło, od lewej skroni do przedniego skłonu czaszkę biegło świeże, różowe, ziarniste zabliźniające się wkleśnięcie.

Chirurg obozowy pomacał kreskę palcami. — Go! się dobrze. — Pokiwał nad Butlerem głową. — Dwa tygodnie leżał waszmość pan bez przytomności.

Uklonił się szlachcicom w pas i opuścił namiot.

— Gdzie jesteście? — Butler zapytał słabym głosem.

— Jak to, gdzie? Pod Beresteczkiem. Waszmość został ranny w trzecim dniu bitwy, i od tego czasu leżał waszmość jak Łazarz bez przytomności, w malignie.



nasach, aie przede wszystkim na cukrze. Mikojan złożył ofertę w sprawie zakupu do 15 marca br. 345 tys. ton cukru kubańskiego.

Petla dyktatu politycznego i ekonomicznego „groźnego białego sąsiada” może nie uciskać już tak mocno Kuby.

Jesteś małą gorącą wyspą Kubo, ale w ostatnim czasie rozlano na twój temat morza atramentu. Pisze się o tobie w tysiącach artykułów, wygłasza się tysiące przemówień za i przeciw tobie. Wzbudzasz nienawiść dyktatorów Ameryki Łacińskiej i

W kubańskim kotle wciąż wrze

(Dokończenie ze str. 4)

dy Stany Zjednoczone mogły wysłać piechotę morską — i czyniły to — aby narzucić politykę amerykańską, należą do przeszłości i trzeba się w pełni pogodzić. Sen o powróceniu na Kubę zamachu na Gwatemalę nie daje spać wielu potężnym, wpływowym politykom Stanów

Środkowej. Przyglądając się włókiennictwu w Łodzi. Jest to w całym tego słowa znaczeniu placówka naukowo-badawcza. Jesteśmy więc poniekąd w raju techniki. Odnosimy takie wrażenie. Zaraz za pierwszymi drzwiami napis: „Promienie X. Nie wchodzić”. To wzbudza respekt. W głębi widać młodą laborantkę. Ale poure schody, na które wychodzimy, jakby wyrabane w cementcie, nastroją nas nieufnie.

Szukamy mgr. inż. Dąbrowskiego. Inżynier kieruje zakładem przedzalnictwa. Jest to jeden z działów Instytutu. Błądzimy po korytarzach, ale na „obra drogę” wyprowadza nas jedna z pięknych sekretarek. Witamy wreszcie inżyniera. Jest to młody człowiek o aparycji — jak na zdjęciach. Istnieją wywiady, które wyczerpują się w relacjonowaniu faktów; dziennikarz co najwyżej zabarwia owe fakty emocjonalnie lub opatrjuje je odpowiednimi refleksjami. Do tej kategorii należy zaliczyć rozmowę z inż. Stanisławem Dąbrowskim.

Można by o nim powiedzieć: urodzony narrator! Inżynier opowiada ze swadą, ale tylko o sprawach zawodowych. Chcicie dowiedzieć się czego o czynnikach kształtujących konstrukcję maszyn włókienniczych? O przerobie włókien wełnopodobnych na maszynach przedzalnictwa bawełniarskiej? O

zwiększeniu zdolności, rozciągowej jakiegoś tam aparatu? Zawsze i wszędzie. W nocy i w dzień.

Opowiadanie Dąbrowskiego to nie ciekawa nowela. Tym bardziej że inżynier unika wątków osobistych. Nie chce mówić o domu, o kłopotach. Zdradza się tylko raz, kiedy go pytamy, jak mu się podoba nowe budownictwo w Łodzi. Pan Dąbrowski odpowiada: „Bardzo, z wyjątkiem parkietów”. Nie nowego pod słońcem — jak mówi Eklezjasta. Więc opowiadanie inżyniera to nie barwna opowieść o losie ludzkim „misternie prowadzonym, jakby rzekł krytyk, ku końcowym rozstrzygnięciom i efektom”. Nie z tego. To naga, surowa, najeżona terminami fachowymi relacja o zawodzie „włókiennika”.

Można powiedzieć, że w tym zakresie — trafiliśmy sedno. Chodzi nam przecież o uchwycenie związków pomiędzy praktyką a teorią, między życiem a nauką, między zakładami pracy a taką placówką, jak nasz Instytut. Co uczynił Instytut dla Łodzi?

O włókiennictwie, z którego żyje Łódź, trzeba wiedzieć, że jest to jedna z najstarszych dziedzin wytwórczości. Jest to przemysł, który korzysta z pomocy wielu innych przemysłów, a także i chemicznego, potrze-

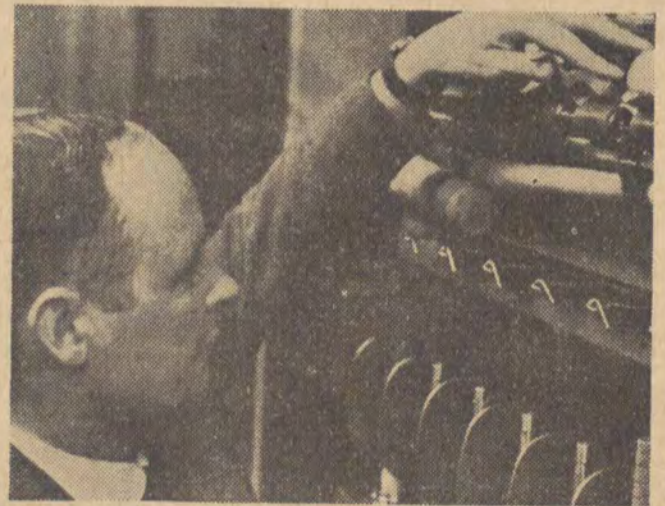
buje wielu surowców i środków pomocniczych, naturalnych i sztucznych. I jeszcze to, że w Łodzi pracuje się na maszynach muzealnych. Można by o nich powiedzieć, że „umiąły przeżyć swój wiek”.

Inżynier opowiada o powiązaniach Instytutu i swego zakładu „z życiem”. Padają lapidarne nazwy, określenia, cechy charakterystyczne maszyn. Wniosek z tego, przełożony na ten wykład na język ludzki, jest taki: zakład również ma braki. Smutne, ale prawdziwe. Brak dostatecznego wyposażenia laboratoryjnego. Robienie eksperymentów sprawia nieraz kłopoty. Ale mimo to

można mówić o pewnych osiągnięciach. Na przykład, Zakłady im Gwardii Ludowej współpracują z Instytutem w zakresie przerobu włókien sztucznych i syntetycznych. Zakłady Marchlewskiego współpracują w dziedzinie podnoszenia wydajności; zgrzeblarek bawełniarskich i badania czystości runka i przędzy. Zakład przedzalnictwa współpracuje także z ZPB im Obrońców Warszawy i Pomorskich Zakładów Tworzyw Sztucznych. Efekt: zastosowanie tworzyw sztucznych w maszynach włókienniczych i w 55/56 roku nagroda państwowa (za to właśnie!).

Zwiedzamy laboratorium badania półproduktów i przędzy. W laboratorium cisza. Maszyny wylaczone. W osiedniej oświetlonej sali, w której odpoczywa elektrony aparat do badania nierównomierności przędzy, pracują laborantki. W dalszych pokojach inżynierowie. Obliczenia, setki działań, wzorów. Dziesiątki prób. Jedna próba udana. Potem telefon do fabryki.

Notujemy: zakład przedzalnictwa pracuje nad przerobem włókien sztucznych i syntetycznych; nad zastosowaniem nowej technologii. Inne zakłady Instytutu: wykończalnictwa, tkactwa, metrologii i surowców również współpracują z fabrykami. Pewnego dnia gazety ogłoszą nazwisko inżyniera, którego ulepszeniem zainteresowała się nie tylko Łódź. Włókiennictwo to taka dziedzina w której muszą być stosowane najnowsze zdobycze nauki i techniki. Triumfuje tutaj „poetyka technicznej codzienności”. Wbrew pozorom, wynikającym z dzisiejszej wizyty, nie możemy ograniczyć wizerunku naszego inżyniera, jak w „doradnej” powieści produkcyjnej do roli „homo oeconomicus”. Nie można. Związek człowieka z maszyną nie należy do zagadnień wyłącznie technicznych; nasycony jest głębokimi treściami humanistycznymi. (p — b)



JERZY TYNECKI

Uliczka nienazwana

JERZY TYNECKI

W czasach, kiedy poezja nikogo nie obchodzi, a publiczność literacka bez reszty przypomina kaperów: posmakowali i poszli — nader łatwo popaść w komponowanie wyrażań, które niewiele oznaczają i w końcu tylko od piszącego zależą czy potrafi narzucić sobie pewne rygory w doborze odczuwań. Podobnie — tylko wierność rygorom wyróżnić dziś może ciekawsze indywidualności wśród debiutantów.

Mamy przed sobą debiutancki tomik Ewy Dąbrowskiej zatytułowany „Uliczka nienazwana”.

Zamyśl nienazywania wprost swoich uczuć, akcentowany w tytule zbiorku świadczy niewątpliwie o kulturze nowej poezji. Nie narzuca się ona z tym, co prze-

żywa, a co innych nie zawsze interesuje. Zaznacza po prostu swoje istnienie: opowiada to, co widzi.

Przy tym wszystkim jednak zajęta jest sobą. Krąg jej doznań to: samotność, dyskretna tęsknota, bierne kobiece zainteresowanie innym człowiekiem („Portretując zamysłonego”), impresje „filozoficzne” i pejzażowe, wreszcie zainteresowania — muzyczne i plastyczne. Poezja to raczej refleksyjna niż zmysłowa i myliłby się ten, kto — mimo dziwności skojarzeń — chciałby znaleźć dla niej klucz freudowski.

Podświadomość w wierszach Dąbrowskiej nie istnieje jako rzecz wydobywana przez nią na zewnątrz, lecz jako element przyrównania — nawet w utworach nieco neurotycznych, jak ciekawy „Śliczny mały budzik” czy „Ręka”. Fragment:

moja prawa ręka
nocą
przebiera wśród gwiazd

zmieniona w pięć języków ognia
(„Ręka” — podkr. J. T.).

wyduje się na przykład bardziej wyrozumowany, a więc wypracowany, niż wydobyty z tzw. dna świadomości. Nie trudno tu się dopatrzeć inspiracji abstrakcyjnego malarstwa. Powiedziałbym, że dziwność skojarzeń w „Uliczce nienazwanej” wypływa raczej z potrzeby sztafażu dla normalnych ludzkich reakcji, niż z konieczności ubrania ujawnianego kompleksu. Więcej tu przystrajania się, aniżeli okrywania obnażonego „wnę trza”.

Owo przystrajanie się nie zawsze zresztą bywa konieczne i wtedy wiersz Dąbrowskiej staje się niemal prościutką, nieledwie banalną:

Nie słyszałam jak błękitnieje
letni wieczór
nie wiem
co szeptał skalisty widnokrąg

samotnie wypatrywałam
uważnie wypatrywałam
w latarni magicznej mych
słów (...)

Świadomość własnej samotności jest odsłaniana tu raczej w tonie wiersza, a nie oznaczana metaforą. Nawiasem mówiąc, opis jest słabą stroną Dąbrowskiej. Za przykładem abstrakcjonistów woli ona operować kompozycją zestawień, podporządkowanych refleksji, niż ściśle określać sytuację liryczną. Niekiedy nawet wiersz jej przypomina niejako inwentarz obcych doznań, których autorka trochę innym zaskrości. Wiersz ma wówczas nieuchwytny, stonowany podkład zawiści.

Sugerowanie autorce, że podpatrywana przez nią u abstrakcjonistów swoboda kompozycji odrzeczonych elementów rzeczywistości może wyrażać, albo w ogóle wyraża tak zwaną psychologię głębi, polegałoby chyba na niepo-

rozumieniu. Zapewne też odczuła to sama Dąbrowska, skoro pisze w wierszu „Przyjaciółom”:

to mało
bacikiem pochlebstw
nakłaniać
by jeszcze dalej
by samej
nie umiem

Ewa Dąbrowska „Uliczka nienazwana”.

Wyd. Łódzkie, Biblioteka Poetów 1959.



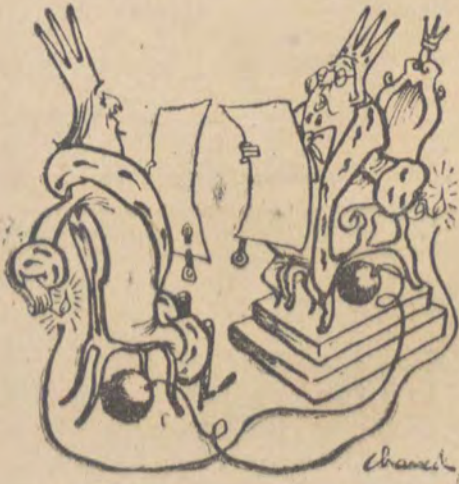
Najostrzejsze ołówki świata

CHANCEL

Chciałem wręczyć listy u-
wierzycielniujące...



Nierozzerwana więź
łączy nasze trony...



Z górą dziesięć lat Chan-
cel uprawiał wyłącznie sa-
tyrę polityczną w gazecie
„L'Ami du Peuple“ („Przyja-
ciel ludzi“). Jego rysunki
były jednak dalekie od przy-
jacielskich nastrojów: zjad-
liwe, pełne żółci karykatury
jednały mu wielu zwol-
ników... i tyluż wrogów.

Nikt łatwo nie traci na-
bytych upodobań — kiedy
później francuski rysownik
rozszerzył krąg swoich za-
interesowań tematycznych
i przestał się zajmować wy-

łącznie wielką polityką —
pozostał ostatecznie artystą
złotym... Nawet gdy po-
zornie ucieka od współczes-
ności w sferę rzekomo ba-
jecznych królestw i zamków
— odnajdziemy w żartach
Chancela całkiem aktualne
aluzje, wyraźnie adresowa-
ne pamflety.

Chancel jest rysownikiem
bez wykształcenia plasty-
cznego, ale trudno to wy-
czuć w jego niebanalnych,
pełnych wdzięku szkicach.
j-ert.



Ilustracja do podręcznika
fizyki. Naczynia połączone.



— Co się pan dziwi! Od
powrotu z wypraw krzyżo-
wych stać nas tylko na je-
dną sztućkę.



Wiadomość, którą mamy do
zakomunikowania, ucieszy nie-
wątpliwie właścicieli popular-
nych krajowych motocykli
„Junak“. Otóż jak się dowia-
dujemy, sklep „Motozbytu“ w
Łodzi przy ul. Północnej 11
będzie zaopatrywany w części
zamiennie i akcesoria do mo-
tocykla „Junak“ bezpośrednio
przez producentów „Junaka“,
tj. przez Szczecińską Fabrykę
Motocykli i Zakłady Sprzętu
Motoryzacyjnego Nr 1 w Ło-
dzi.

Jak nas solennie zapewniono
sklep będzie miał na składzie
stałe pełen asortyment czę-
ści tej marki.

Ciekawostki

Na ulicach Łodzi pojawiły
się pierwsze „Wartburgi“ z
tegorocznych dostaw, różniące
się „na oko“ zmienioną ozdó-
bą wlotu do chłodnicy. Mi-
mo iż wozy te są u nas zna-
ne, cieszą się jednak dużym
zainteresowaniem. Wokół za-
parkowanego „Wartburga“ gro-

syjski jest u nas bardzo ro-
powszechniony, ale wydaje się,
że „Motozbytu“ powinien in-
strukcje te przetłumaczyć na
język polski, chociażby dla
tych kupujących, którzy do-
piero zaczynają się uczyć ję-
zyków obcych... Jak to dob-
rze, że nie sprowadzamy sa-
mochodów z Chińskiej Re-
publiki Ludowej...

„nikogo nie interesuje ol-
brzymia dziura w jezdni na
skrzyżowaniu ul. Zeromskiego
z ulicą Andrzeja Struga, po-
została po „wykopkach“ Elek-
trociepłowni?

„w żadnym ze sklepów
„Motozbytu“ nie można dost-
ać części do samochodów
„Wolga“, których pewna ilość
kursuje już na naszym te-
renie od ubiegłego roku?...
Wprawdzie wozów tych nie
jest jeszcze dużo, ale np. co
ma robić „szczęśliwy“ posia-
dacz „Wolgi“, gdy mu, dajmy
na to wybito szybę?...



„kolory produkowanych w
krajach samochodów są tak brzy-
dkie i monotonne?... Od jesie-
ni ubiegłego roku zarówno
„Warszawy“ jak i „Syreny“
malowane są albo na szaro,
albo na niebiesko, albo na se-
ledyn... Czyż naprawdę nie ma
lakieru na jakieś bardziej at-
rakcyjne barwy i czy odbior-
cy krajowych samochodów
mają być zdani na łaskę i
niełaskę F. S. O?...



madzi się z reguły kilku ży-
wo rozprawiających młodo-
ków motoryzacji. Szczególny
zachwyt wzbudzają wozy ma-
lowane na koral, kolor w dal-
szym ciągu bardzo modny na
zachodzie Europy.

„nie zakończono dotychczas
w Łodzi akcji wymiany ta-
blic rejestracyjnych samocho-
dów, choć trwa ona już prze-
szło rok?...

dlaczego

mieco
STATYSTYKI

„klient, zakupujący sa-
mochody marki „Moskwicz
407“ otrzymują instrukcję ob-
sługi tych wozów wyłącznie w
języku rosyjskim?... Język ro-

Na dzień 1 stycznia 1960 r.
kursowało na terenie m. Ło-
dzi 820 taksówek osobowych,
w tym 774 prywatne oraz 54
spółdzielcze.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa
Łódzka“ * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel.
244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartal-
nie 12,- zł * Redakcja nie zamawia reprintsów nie
zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocz-
towe, listonosze oraz PUPK „Ruch“ — z zaznaczeniem na
„Odgłosy“, Druk RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17 Z. 478 II.
1960 r. R-4

JERZY WALEŃCZYK • Poeta psychiki zatomizowanej • JERZY WALEŃCZYK

Na wstępie chciałbym zaprote-
stować przeciw pewnemu dość u
nas rozpowszechnionemu przeświad-
czeniu, że literatura jest rzeczą
prostą i na ogół wystarczy mieć
trochę serca i rozumu, aby ją po-
prawnie odbierać. Literatura nie
jest algebrą, ani matematyką wyż-
szą, ale posiada, powiedzmy wprost
swoje dostępne tylko dla niewie-
lu tajemnice. Są one tym, czym
są w naukach ścisłych prawa rzą-
dzące zjawiskami. Argument, że
„ludzie“ pewnych rzeczy nie ro-
zumieją jest naiwny, ponieważ nie
wiadomo co to za ludzie. Żadnemu
poważnemu człowiekowi nie przy-

szłoby do głowy wymagać od
sprzedawczyni w „Delikatesach“
znajomości rachunku różniczko-
wego. I tak, jeżeli powiem, że typ
poezji jaką uprawia Roman Lobo-
da ma swoje korzenie w awan-
gardzie polskiej XX-lecia między-
wojennego, której przewodził Pei-
per, nie pomoże to sprzedaw-
czyni w „Delikatesach“ do zrozu-
mienia swoistej poetyki uprawia-
nej przez autora „VI smaku“. Cza-
sem wydaje mi się, że do pełnego
wyjaśnienia dzieła literackiego na-
leżałoby stworzyć drugie dzieło
literackie, uzasadniające co i jak.
Nie dość jest zwracać uwagę na
rzekomą „laickość“ i „powszechno-
ść“ dzieła literackiego.

Konsument kultury nie musi je-
dnak wiedzieć — podobnie jak
konsument preparatów lekarskich
— jakie elementy chemiczne wcho-
dzą w zestaw danego preparatu.
Czuje tylko smak. Rozpogadza się
lub krzywi, jeżeli lekarstwo jest
gorzkie lub słone. Nie ma to żad-
nego związku ze zbawiennym
działaniem lekarstwa na organizm

pacjenta. Ta dobroczynność dzia-
łania lekarstwa i dzieła literackie-
go nie wymaga od konsumentów
zdolności analizy. „VI smak“
Romana Łobody nie jest jednak ani
słodki, ani słony, ani gorzki. Jest
po prostu szorsty. Łoboda jest po-
ięcią schizofrenii człowieka współ-
czesnego, jest lirykiem rozczepie-
nia jaźni na marzenie i rzeczywistość.
Ucieka w egzotykę własnego
ciała, wymagowanych fok,
ryb elektrycznych, palm — tego
całego bagażu wyobraźni drobno-
mieszczanina. W podmiocie liry-
cznym poezji Łobody przerażony
drobnomieszczanin walczy z czło-
wiekiem współczesnym, zbrojnym
nie tyle w trafną diagnozę faktów,
ile w diagnozę własnej świadomo-
ści.

Czytelnik „VI smaku“ powinien
mieć zastrzony dowcip i duże u-
czulenie na specyficzny humor i
antytradycjonalistyczną groteskę.
Na każdym kroku napotykam w
tym tomie na epatowanie trady-
cjonalistami, na autoironię, na igra-
żki z sobą i czytelnikiem. Innym

znów razem poeta dla zrównowa-
żenia „hecy“ staje się poważny,
surowy, oschły, oschłością narzę-
dza chirurgicznych wpiątanych w
jakis nowoczesny „dance makabre“.

Schizofrenia tych wierszy to roz-
czepienie na mikro i makrokos-
mos. Stąd częsty motyw składa-
nia się, motyw zagubienia, motyw
powrotu do siebie, stąd mowa o
astronauce własnego ciała, stąd
oscyłowanie między kosmosem a
własną kłamką, stąd mowa o tra-
gicznym bezsensie zmęczenia czło-
wieka. Poeta chroni się również w
absurd słowny.

Szukający oparcia o propozycje
malarstwa abstrakcyjnego, czasem
jakby spokrewniony z obrazami
Salvadora Dalí, wprowadza ję-
zyk medycyny, fizyki do różewi-
czowskiego modelu. Metafora wy-
rasta z zagubienia w dyspropor-
cjach: człowiek — przestrzenie.
Może trochę rażą pewne elementy
taniej egzotyki atlasowej.

Osobną sprawą są stylotwórcze
możliwości Romana Łobody, kre-

owanie bóstw filologicznych. I tak
wydaje mi się, że „Golomyślnica“
jest autentycznym dokumentem
szans stylistycznych, szuka rdze-
nia słów, wygrzebuje jakies qua-
si prasłowiańskie współbrzmie-
nia rodowodów. Tym ciekawszy
jest ten wiersz, ponieważ umuzy-
czeniem daje mu ścisłą ewidencję
słowa.

Pewnie, są i analogie i pokre-
wienstwa literackie. Ale nie o to
chodzi. Na mapie poetyckiej Ło-
dzi jeszcze jedna biała plama zo-
stała zapisana własnym językiem
i własną wyobraźnią.

Roman Łoboda „VI smak“ Wydawni-
ctwo Łódzkie, Biblioteka Poetów 1959.

DOM
KSIĄZKI
JUMI

DWIE NAJPOPULARNIEJSZE KWIATKOWSKIE — Irena i Barbara, grają w nowej polskiej komedii filmowej „Tysiąc talarów”. Premiera — już za kilka dni!



RZECZ DZIEJE SIĘ 6 czerwca 1944 roku. Oglądamy na ekranie ostatnią godzinę życia pięciu ludzi zamianych za udział w zamachu na niemieckiego pułkownika. W pobliżu Normandii lądują wojska alianckie — ale skazańców nie już nie zdoła uratować. Oto pokrótce treść świetnego filmu francuskiego pt. „Wyrocznia”, reżyserii dobitującego Jean Valere, scenariusz wg pomysłu Hosseina. Na zdjęciu — obok Roberta Hosseina stoją pozostali bohaterowie filmu: Beatrice Bretty, Lucien Raimbourg, Roger Hanin i Marina Vlady.

SCILLA GABEL — uderzająco podobna do Zofii Loren — była niegdyś jej dublerką w wielu filmach włoskich. Ostatnio przestała być „cieniem” słynnej aktorki i zadebiutowała samodzielnie w jednym z filmów francuskich



Andrzej Munk O FILMIE WSPÓŁCZESNYM



„Człowiek na torze” i „Eroica”, to filmy które przyniosły Andrzejowi Munkowi duże uznanie krytyki filmowej i bardziej wyrobionej publiczności; pozwalają one zaliczyć tego interesującego reżysera młodego pokolenia do filmowej czołówki w Polsce. Ostatnią pozycją Munka jest komedia satyryczna „Zezowate szczęście” — wg opowiadania Jerzego S. Stawińskiego „Sześć wcieliń Jana Piszczka”. „Zezowate szczęście” ukaże się na ekranach z początkiem marca.

Z. — Który film, czy może jakieś wydarzenie związane z realizacją któregoś ze swoich filmów wspomina Pan najlepiej?

M. — Proces powstawania każdego filmu jest niesłychanie bolesny. Trudno mówić o jakiejś przyjemności wspomnienia. Okres produkcji filmów wspomina się źle, a najgorzej — okres produkcji filmu ostatniego. Jeśli na przykład przypominę sobie, że przy ostatnich pracach „Zezowate szczęście” musiałem oglądać 300 razy... Wtedy już irytują spóźnienia takie jak to, że gdzieś tam na drugim planie aktor o sekundę za późno schyla się po chusteczkę.

Z. — Czy zdaniem Pana okres rozrachunku z okupacją już się w kinematografii skończył, i czy zainteresowanie twórców współczesnością ma jakieś trwalsze podstawy?

N. — Sądzę, że tematyka okupacyjna jest w dalszym ciągu żywa. Powinniśmy jednak ostatecznie pamiętać, że o współczesności nie decyduje temat, ale stosunek twórcy do tematu. Cóż z tego, że na Zachodzie na przykład masowa produkcja charakteryzuje się współczesnymi dekoracjami i strojem, kiedy konflikty są XIX-wieczne.

Uważam, że temat współczesny chwytny na gorąco

może mylić twórcę. Interesującego materiału do filmu współczesnego może dostarczyć tylko okres w jakiś sposób już zamknięty, oceniany z perspektywy. Owszem, próby robienia filmu „bieżąco współczesnego” bywają niekiedy interesujące. Ale są to w gruncie rzeczy tylko wprawki, obserwacje bez wniosków. Tak jest na przykład z filmem Lenartowicza „Zobaczmy się w niedzielę”.

Z. — Co mógłby Pan powiedzieć o „Zezowatym szczęściu”?

M. — Wydaje mi się, że w tym filmie udało mi się po raz pierwszy osiągnąć pewną dwupłaszczyznowość: jedna płaszczyzna, to atrakcyjna powłoka dla masowego widza, druga — zasadnicza tkanka, zawartość intelektualna. O takiej dwu-

płaszczyznowości musimy pamiętać, ponieważ do kina przychodzi ludzie różni, ponieważ to nie my wybieramy widza.

Z. — To byłaby realizacja zasady „filmu dla wszystkich” głoszonej przez Claira.

M. — Mniej więcej. Z. — Którego ze znanych reżyserów kinematografii światowej cenili Pan najbardziej? Może uważa Pan któregoś z nich za swego nauczyciela?

M. — Najbardziej cenię wielką klasykę. Ale raczej poszczególne filmy niż jakiegoś autora. W obrębie jednego nazwiska spotykamy przecież dzieła różne.

W tej chwili jestem pod wrażeniem „12 gniewnych ludzi” Lumeta. Ale to jest zjawisko zupełnie odrębne.

Rozmawiał:
TADEUSZ ZAKOWIECKI

Kolorowym atramentem

Wszystko się pokreśliło. Przed tygodniem proklamowałem gromko luty — jako miesiąc bez wybitnego filmu w kinach. Stało się tak za przyczyną odłożenia premiery „Zezowatego szczęścia”, która miała być szlagierem bieżącego repertuaru. Tymczasem zamiast filmu Munka — Centrala Wynajmu Filmów dała premierę świetnego „Wspólnego pokoju” Wojciecha Hasa.

Chciałoby się zakrzyknąć: a więc, wszystko w porządku, a więc jednak mamy „film miesiąca”. Nie, nie wszystko w porządku.

Oto inny przykład. Od kilku miesięcy zapowiadana jest nieustannie (także na łamach „Mieszanki”) premiera „Małych dramatów” Janusza Nasfetera — i ciągle bywa odkładana z przyczyn technicznych (podobno brak barwnych kopii). Wierzę się nie chce, by w 10 miesięcy po pokazie na zagranicznym festiwalu nie mogła dojść do premiery w polskim kinie...

I teraz casus „Wspólnego pokoju”. Utańczył się ostatnio archywalny i szlachetny zwyczaj, że właśnie polskie filmy mają zapewnioną najlepszą oprawę propagandową, ogłoszenia, zwiastuny w kinach, nawet plakaty większe do znormalizowanych. Natomiast co się stało z filmem Hasa? Film tak trudny, wymagający umiejętnego zapropagowania, puszcza się na zakończenie parotygodniowej kampanii, reklamującej... „Zezowate szczęście”.

Debrze jeszcze o tyle, że łódzka CWF odłożyła na parę dni premierę by choć w części „przygotować teren”. Ale w Warszawie nikt o tym nie pomyślał i „Wspólny pokój” dano niemal bez żadnej zapowiedzi.

Nerwowość, bałagan i nieustanne odwoływanie raz wydanych decyzji nie stwarza zdrowej atmosfery dla rodzimej kinematografii.

JANUSZ WEYCHERT

„PRZYSTANEK NA PERYFERIACH”

Po psychologiczno-obyczajowych filmach — „Wilcza jama”, „Tęsknota”, które niewątpliwie zasługują na wyróżnienie wśród dość słabej fabularnej twórczości filmowej naszych sąsiadów znad Wławy, godnym choć krótkiego omówienia jest czechosłowacki „Dom w którym żyjemy” czyli „Przystanek na peryferiach”.

Dom stoi tuż obok krańcówki tramwajowej. Przystanek tramwajowy jest miejscem, z którego prowadzą drogi do całej dzielnicy. Z domu widać ludzi wysiadających z tramwajów. W owym domu mieszkają: młoda kobieta oczekująca na powrót męża z więzienia, dozorczyni z wnuczką i dzieciem alkoholikiem, samotna studentka, dziennikarz — stary kawaler.

Twórcy filmu snują wielowątkową opowieść. Ośrodkiem spotkań bohaterów jest klatka schodowa, mały sklep i przystanek tramwajowy. Krzyżują się sprawy bardzo ludzkie — miłość, zdrada, oczekiwanie, śmierć. Reżyser Jan Kadar buduje sytuację z wnikliwością psychologa, robi to jednak trochę na wyrost. Psychologizm i często wydumane konflikty, są „cieniami” tego ambitnego filmu, dobrze re-

żyserowanego, jak również dobrze granego przez Ewę Ocenasową, Vladimira Raza, Marię Brozową i Martina Ružka. Gdyby nie słabości scenariusza „Przystanek na peryferiach” byłby bardzo cenną pozycją w najnowszej twórczości czeskiej.

Na marginesie omawiania tego filmu nasuwa się uwaga, że ostatnie filmy krajów socjalistycznych, jak wymieniona we wstępie „Wilcza jama” i „Tęsknota”, węgierskie filmy „Skrzywdzona” i „Żelazny kwiat” lub bułgarsko-niemieckie „Gwiazdy” i „Wyspa śmierci” są chyba zjawiskiem świadczącym o nowym rozdziale w twórczości filmowej naszych sąsiadów. Świadczą o wartościowych poszukiwaniach artystycznych, o zerwaniu z „posuchą” scenariuszy, która kinematografie socjalistyczne do niedawna cechowała. Może rzeczywiście jest to „nowa fala” w wydaniu socjalistycznym? A może po prostu bliższe spojrzenie na codzienne sprawy toczące się tuż obok nas? Obojętnie jak to zjawisko zostanie nazwane, to niewątpliwie zasługuje na bardzo szczegółową dyskusję i omówienie ze strony naszej krytyki.

A. NIESMIAŁEK

„Imperium Słońca”

„Imperium Słońca” to barwna, szerokoekranowa impresja na temat południowoamerykańskiego kraju, jego mieszkańców, ich obyczajów i tradycji, ich codziennych zajęć. Włoscy dokumentaliści filmowi realizowali swój film bez sentymentalno-reklamowych chwytów, często stosowanych w filmach o tematyce egzotycznej. Zostawili w tyle swoich francuskich kolegów, twórców cikliwego i banalnego reportażu o Hawajach „Tahiti” wyświetlanego w Polsce w roku ubiegłym.

Filmowe „Imperium Słońca” przez swoją ambicję poznania i pokazania ludzi nowych, nowych zakątków świata bliższe jest w swoim stylu klasycznym już dzisiaj filmom znanego dokumentalisty Roberta Flaherty’ego — twórcy „Nanuka”, „Moany”, o wiele późniejszej „Opowieści o Luizjanie” i wspólnie zrealizowanego z reżyserem Murnau’em filmu o Polinezji, „Tabu”. „Imperium Słońca” można wszystkim gorąco polecić do obejrzenia.

A. N.



BRACIA MARX — sławny zespół amerykańskich komików, już równo trzydzieści lat bawi publiczność na całym świecie swymi nieprawdopodobnymi przygodami. Może by z okazji tego jubileuszu CWF pomyślała o sprowadzeniu do Polski kilku zwariowanych komików z wesołą trójką, nawet tych filmów sprzed kilkunastu lat, które się przecież nie nie zestarzały — a kosztują z pewnością niezbyt drogo?..

ANTHONY QUINN — niezapomniany silacz z „La stradi” — wystąpił ostatnio w filmie o Eskimosach „Zobij diabła”, reżyserii Nicolasa Rayna (twórca „Gorkiego zwycięstwa”). Partnerką Quinna była sławna japońska aktorka Yoko Tani.



„NA DWA SPUSTY” — oto tytuł nowego filmu Claude Chabrola, czołowego przedstawiciela „nowej fali” w kinematografii francuskiej. Film jest dramatem kryminalno-mitosnym, ale w ograniczonym schemacie „trójkątów” kryje tader zasadniczą krytykę środowiska bogatej burżuazji. Główne role kobiece grają Madeline Robinson, Jeanne Valerie, Bernadette Lafout i włoszka Antonella Lualdi (na zdjęciu).